

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok III

Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 17 stycznia 1947.

Nr 3 (60)

Eryk Skowron

Panhumanizm



Wspaniałe wynalazki dwudziestego wieku, świadectwa rozumu i zdolności twórczych człowieka wyrzuciły właściwie cały dotychczasowy porządek świata.

Radioelektryka i motory oraz inne rewolucyjne zdobycze techniki współczesnej zamieniły się muzealne zabytki nie tylko dyktando i inne pierwociny nowoczesnych środków komunikacyjnych, lecz pociągnęły one za sobą także zanachronizowanie wielu zjawisk społecznych i międzynarodowych, a także dotychczasowe pojęcia o człowieku, jego istocie i powołaniu.

Jeśliśmy człowieczeństwo określili jako świadome przekształcenie bytu w co raz to doskonalsze formy, to musimy przyznać, że dotychczasowe dzieje człowieka nie są świadectwem powszechnego udziału wszystkich ludzi w tym procesie. Tylko nieliczne jednostki i nieliczne narody biorą udział w tym szalonym tempie i rozmachu twórczym, cała zaś reszta korzysta z jego owoców, lecz ani nie rozumie jego tajemnicy ani konsekwencji. Niestety jeszcze — mimo zjawiających się tu i ówdzie zwiastunów poprawy pod tym względem — obowiązują słowa „Männer machen Geschichte“. Ogromna reszta jeszcze śpi, tkwi w ciemności i przesądach, stoi zdala od właściwych człowiekowi zadań, pogrążona w bezdziejowej wegetacji, nie posiadając świadomości swego człowieczeństwa.

Co dziwne, że tempu, z jakim człowiek dokonuje nowych wynalazków, stając się co raz to potężniejszym panem żywiołów go otaczających, nie dorównują zmiany w świadomości, w psychice człowieka. Aczkolwiek niema już wątpliwości, że człowieka różni od innych stworzeń owa tajemnicza zdolność podporządkowania i przetwarzania świata, jeszcze w świecie panują raczej filozofie, potępiające takie pojmowanie człowieka. Najmocniejszego argumentu owych filozofii dostarcza fakt nadużywania zdobyczy techniki przeciwko samemu człowiekowi, używanie jej ku ztraceniu człowieka.

Oprócz tych antyhumanistycznych poglądów bezdziejową postawę w świecie utwierdzały ustroje. Azjatycki podział na kasty, europejski podział na klasy, teorie o wybranych narodach — panach, odsuwały ogromne rzesze ludzkie od tego świadomego tworzenia swych dziejów i kultury. Nic dziwnego, iż socjalizm i demokracja od samego początku były armiami, które różnymi drogami szturmowały tę samą twierdzę złego porządku świata. I wydaje mi się, że jesteśmy bliscy dnia, kiedy nie tylko tę twierdzę zburzą, lecz na jej gruzach ustanowią nowy i lepszy świat. Obydwa te ruchy różnymi drogami od samego początku walczą o prawo do człowieczeństwa bez względu na rasę i bez względu na klasę. Stąd ich internacjonalizm, stąd ich dążenie do ludzkości bezklasowej.

Nikt nie może być pozbawiony prawa tworzenia! — oto najgłębsze dążenie owych ruchów.

Jeśli nikt nie może być pozbawiony prawa tworzenia, tej najistotniejszej cechy człowieczeństwa, to nikt nie może być także pozbawiony prawa do owoców tworzenia. Tu tkwią korzenie idei sprawiedliwości społecznej. Walka proletariatu w całym świecie jest walką o te prawa i tym samym w głębszym sensie o prawo proletariatu do tak pojętego człowieczeństwa. Proletariat jako klasa walczy tu z inną klasą, która go tego człowieczeństwa pozbawia.

Sens ostatniej wojny w gruncie rzeczy też leżał w walce narodów przeciwko narodowi, który chciał ich również tego samego pozbawić.

Walka ta będzie się toczyć, aż prawo tworzenia i prawo do jego owoców stanie się prawem wszystkich ludzi bez względu na kolor włosów i skóry, bez względu na język, płeć i pochodzenie.

Nowoczesna technika zniszczyła granice narodów. Nie są granicami więcej ani rzeki ani góry, nie są nimi także morza. Nie zrozumieliśmy tylko jeszcze, że nie są tymi granicami więcej ani język ani rasa. Jeszcze jest za dużo balastu starych wyobrażeń i emocyj, które tamują idącą falę postępu w tej dziedzinie. Wstrzymać jej jednak nic nie zdoła i któregoś dnia pod jej naporem runie wał głupoty ludzkiej, który fali tej stoi dziś na przeszkodzie, a wszystkie partykularne roztopią się w jedność.

Słupami milowymi na tym szlaku ludzkości są Liga Narodów, Obóz Narodów Zjednoczonych i proces norymberski. W duchu idei, jakie przedstawiają te instytucje, niema już miejsca na imperiaлизmy nacjonalistyczne. Sprzeczne z nią są nawet koncepcje panuropeizmu, pangermanizmu, panslawizmu, panamerykanizmu itp.

Uzasadnieniem jedności świata człowieczego może być tylko jedno wiązadło, a tym jest „panhumanizm“. Nie wiem, jakie perypetie będzie świat jeszcze przechodził aż dojdzie do tej naturalnej swej mety, ale wydaje mi się, że to jest jedyny słuszny cel dziejów człowieka i jego wewnętrzna tendencja.

Panhumanizm jest wiarą, że w każdym człowieku, bez względu na to jakiej by on nie był rasy, tkwi ów tajemniczy płomień twórczy, który jest motorem owego oszałamiającego zjawiska przetwarzania świata przez człowieka. Człowiek nie ma tu konkurenta w żadnym innym stworzeniu. To go zasadniczo od innych stworzeń różni.

Jest zatem jeden człowiek i jedno pojęcie człowieczeństwa. Człowieczeństwo zaś jest tworzeniem.

Na czele narodów stały dotychczas zawsze te, które wiodły prym w tym tworzeniu. W łonie narodów zazdrośnie strzegły tego prawa dla siebie warstwy dotychczas panujące, międzynarodowa noblessa,

a narody przodujące światu również zazdrośnie chowały ten przywilej dla siebie.

Pomijając nawet moment krzywdy, jaką rodzi pozbawienie człowieka jego najwyższej cechy, takie monopolizowanie pełnego człowieczeństwa wyrządzało szkody rozwojowi ludzkości, opóźniając i zubożając dorobek ludzkości. „Panhumanizm“ wobec tego żąda upowszechnienia świadomego człowieczeństwa, jako woli doskonalenia bytu, na wszystkie ludy i wszystkich ludzi. I to jest właściwie istotny sens demokracji powszechnej. Trzeba dodać, że cel ten jest do osiągnięcia przede wszystkim przez upowszechnienie oświaty i wiedzy.

Z chwilą, gdy człowiek-creator stanie się typem obowiązującym, normatywnym dla świata, świat ten przestanie być automatycznie półwartowaną powierzchnią ludów, a stanie się tym, czym jest z przeznaczenia — jednością.

Proces norymberski, a raczej reguły prawne tam zastosowane są poważnym krokiem na drodze do tej jedności. Ustawy Mojżeszowe i im pokrewne stworzyły etykę indywidualistyczną, zabraniającą zabijać człowiekowi człowieka, tutaj w Norymberdze zrodziła się norma wyższa, zabraniająca zabijać narodowi inny naród. Są w tym załączki zasad, mogących uśmierzyć głębokie konflikty, wrące w kotle naszej przejściowej ery.

Zarysowana tu koncepcja może się wydać wielu ludziom utopią. Gdyby nawet tak było, to należy oświadczyć, że jej urzeczywistnienie opóźnia jedynie głupota i namiętność ludzka. Zmierzenie zaś do innych, niż ona, celów, może zepchnąć ludzkość w straszną otchłań nieznaną dotąd nie-szczęść...

Perspektywa Odry

Za tydzień, to jest 26 stycznia przyznana zostanie nagroda literacka czytelników Odry za dzieła literackie oparte tematycznie o sprawy Ziem Odzyskanych w przeszłości i teraźniejszości. Nagroda pomyslna jako nagroda czytelników stała się także nagrodą wojewodów, albowiem dwóch wojewodów, górnośląski i szczeciński, składkami swymi w wysokości po 50 tysięcy złotych wzmocniło wydatnie fundusz nagrody, podnosząc ją równocześnie do pozycji największej nagrody literackiej w odrodzonej Polsce.

Ziemie Odzyskane wciąż jeszcze czekają na zdobycie ich przez sztukę polską. O ile łatwiej nastąpić to może w dziedzinie malarstwa n. p. nie mówiąc już o muzyce, o tyle trudniej się ma rzecz w dziedzinie literatury. Uczuciowy i naturalny stosunek pisarza do tematyki Ziem Odzyskanych trudno uczynić żelaznym od samego faktu posiadania Ziem Odzyskanych, zależny on jest od wielu innych czynników literackiej i poza literackiej natury. Uznając trudności, jakie leżą na drodze zdobycia dla Ziem Odzyskanych pisarza polskiego, nie możemy współczesnemu życiu literackiemu w Polsce wybaczyć, że dzieje się to tak opieszale. Zdaje się, że źródło tej opieszalności leży raczej w nawykach i upodobaniach niż w braku odpowiedniej gotowości ideowej. Tym ostrzej tę absencję należy potępić.

Nagroda Literacka Odry ze względu na jej charakter ideowy stanowi wydarzenie nie małej wagi w życiu kulturalnym kraju a zwłaszcza w życiu kulturalnym Ziem Odzyskanych. Pochwalony będzie publicznie i wynagrodzony trud tych pisarzy, którzy rezygnując z nawyków i zbaczając z dotąd znanych i wydeptanych już gęsto dróg tematycznych, postanowili nawiązać szczerzy uczuciowy stosunek ze sprawami i przeszłością Ziem Odzyskanych, przejąć się ich troskami dawnymi i dzisiejszymi i całość tę ukazać w artystycznej formie nieśmiertelnego słowa polskiego.

Do jury nagrody literackiej czytelników Odry zaproszeni zostali z Wrocławia prof. dr. Tadeusz Mikulski, z Krakowa krytycy Kazimierz Wyka i Helena Wielowieyska, z Warszawy Stanisław Helsztyński, z Katowic dr Roman Lutman, dyr. Instytutu Śląskiego. Z ramienia redakcji Odry do jury weszli Wojciech Zukrowski (Wrocław) i Wilhelm Szewczyk (Katowice).



Piotr Paweł Pilarski:

Wezbrana Odra pod Krotoszyńnem (olej).

Dm / m / 02

szcze chwilę otrząsa się z emocji zmagania, szuka równowagi w balansie przechyłów, by po chwili, ciągle na żaglu, sunąć już gładko i bez wstrząsów, jak biegacz, który po zwycięskiej walce odbywa tryumfalnie honorową rundę.

Wśród niskich chmur płynie też na swym wzgórku katedra fromborska, okręt na wzburzonych falach ludzkich dziejów i steruje ku słońcu, które o zachodzie zniża się nad horyzont i strzela w nią salwami czerwonych promieni. Miasteczko leży w cieniu u jej podnóża ciche, dziecinne w swej bezsilnej skardze i w ufym oczekiwaniu na dzień powstania z popiołów. O oznaczonej porze od strony Elbląga odzywa się syrena dychawicznej lokomotywy i kilkuwagony pociąg wtacza się na stacyjkę, przywołując

pozdrawienie z dalekiego jeszcze kraju i nieco nieśmiały ludzi, zbitych w trwożne grupki.

Jest coś dziwnego w ściągu ludzi do zdruzgotanego miasteczka i łatwości, z jaką się zakorzeniają. Przed wojną żyło w Fromborku trzy tysiące mieszkańców. Sądząc po resztkach dobytku porzuconych na śmietnikach Frombork był Eldoradem na końcu świata. Rozpierzali się tu Niemcy w dostatku i wygodzie, w dosyć „Lebensraum”. Po niespełna roku imigracji pięćset Polaków i ostatnie dwie setki Niemców okupowało w lecie 10% ocalałych budynków, a coraz to nowi obywatele szukali azylu w dawnym kanonicznym grodzie.

W tym czasie ambicją mieszkańców miasteczka było posiadanie „własnego” a nie

„dojeżdżającego” księdza. Z czterech kościołów Fromborka wybrano na razie nie zniszczony protestancki i tam zwolna przenoszono po kawałku barokowy ołtarz z niesamowicie zrujnowanego kościółka „u starców”. Fara leżała w gruzach, katedra znajdowała się pod szczególną pieczą, a sędziwy kościółek nie dał się odbudować choć w rumowisku jego nie jeden ciekawy krył się relikw. Poszedłem tam z ciekawości. W chaosie zniszczeń natknąłem się na nie tak stary śpiewnik litewski z początku XIX wieku, na wizerunki adiutantów polskich w trytyku Trójcy św.: św. Wojciecha i św. Stanisława, oraz postument strzaskanej figury Matki Boskiej z łacińskim epitafium z r. 1693. Wspominało ono kanonika warszawskiego Adama Sarnowskiego, sekre-

tarza prymasa Leszczyńskiego, Wacława i Mikołaja Prażmowskich, oraz przez przeciąg dwudziestu lat sekretarza osobistego króla Jana.

Stróż gminny zapewniał, że kościółek jest jeszcze zasobniejszy w dzieła sztuki i na dowód zaciągnął mnie na chór, gdzie, obok Bóg wie skąd pogromadzonych zbutwiałych płócien religijnej treści, trzymali straż gwardziści króla Heroda, pod palmami z świetnej do zatykania okien dykty. Na moje zdziwienie spojrzenie wyjaśnił z dumą:

— Tego roku na Boże Narodzenie będzie w kościele szopka.

Wśród szczątków przeszłości zaczynali nowi fromborsczanie krzątać się koło urzędzenia sobie przyszłości.

Stefania Mazurek

Młodzieżowe wypominki

Zagadnienie odrębności polskiego charakteru Śląska, jakkolwiek omawiane w licznych publikacjach oraz na łamach prasy, nie znalazło jeszcze należytego zrozumienia ani ze strony społeczeństwa zwłaszcza napływowego, ani też przez czynniki publiczne. W dalszym ciągu interpretuje się polskie właściwości psychiki śląskiej jako przejawy obce, sprawy repolonizacji Śląska Opolskiego nie wszędzie traktowane są z należytyym zrozumieniem.

Główna przyczyna takiego stanu rzeczy tkwi prawdopodobnie w tym, że na ogół element polski przybywający na Śląsk Opolski z różnych stron Polski, zbyt mało jest poinformowany o przejawach życia polskiego na Śląsku na przestrzeni wieków. Nie wglębił się w przyczyny, które tłumaczą odrębny charakter polskości Śląska wynikający z XVIII stulecia z pruskiej polityki oświeconego absolutyzmu, a który po zjednoczeniu Niemiec (okres Bismarckowski) przejawia się w formach swoistych, zwłaszcza w ogromnym bogactwie polskiej kultury rodzimej Śląska. Znajomość tych problemów ułatwiłaby w znacznym stopniu proces zlania się ludności napływowej z elementem rodzimym Śląska w jeden naród. Na momenty te silniejszy należy położyć nacisk w pracy oświatowej na Śląsku, w pogadankach popularnych, akademickich itd.

Wcielając Śląsk Opolski w organizm Państwa i Narodu Polskiego, odnosimy się z czcią i szacunkiem do wszystkich pozostałych form polskiego życia, wskrzeszamy wartości, jakie się przechowywały, by uczynić je dorobkiem ogólnopolskim. Wydobywamy spod powłoki cywilizacji niemieckiej wszystko co swojskie, rodzime, by stopniowo związać je z duchem życia polskiego i jego kulturą. Nie inaczej postępujemy w stosunku do żywych wartości, jakie przechowały się w sercach rodzimych Polaków Śląska Opolskiego. Różna jest oczywiście skala uczuć, jakie poszczególne jednostki, a raczej pokolenia żywią dla Polski. Jest pokolenie starszych Ślązaków, które na widok pierwszych Polaków przybywających na Śląsk Opolski płakało z radości i ze wzruszeniem, witając ich słowami niecierpliwego wyczekiwania: „Przybyliście nareszcie, długo czekaliśmy na Was i tęskniliśmy za Wami”. Inaczej ustosunkowały się pokolenia młodsze do Polski. Wyrosły

one na ogół w otoczeniu polskim, język polski jeszcze pamiętają, polskość wsczeploną przez matkę w niejednym wypadku wyparła niemiecka szkoła, która w przeciągu długich lat karmiła młodzież nienawiścią do Polski, wychowała ją w duchu szowinistycznym, otwierając przed nią możliwości społecznego awansu. Pomimo to polskość nie zanikła. Przechowała się w podświadomości ludności i przetrzymując się w więź psychiczną łączy ona ludność Śląską z Macierzą Polską do tej chwili

Nasilenie metod germanizacyjnych w okresie narodowego socjalizmu wypaczało polską duszę młodego Śląska. Ujemne oddziaływanie metod hitlerowskich odbiło się szczególnie na młodzieży rodzimej w wieku od 17—26 roku życia. Trochę o położenie tej młodzieży oraz o lepsze losy jej przyszłości poświęcone są te uwagi.

Krytyczne momenty, jakie przeżywa to pokolenie, doskonale odczuł autor artykułu pt. „Laboratoria polskości” (Odra nr 40), „Tragizm uciemnienia dusz, wydestylowanych nawet ze szczątków etnicznej odrębności, a zatruć jadłem najpodlejszego gatunku szowinizmu niemieckiego, stanowi zmorem dla Polski, która tu przyjąć miała, zapowiedź skomplikowanych, może beznadziejnych powikłań”. Tragizm, jaki ciąży na pokoleniu młodego Śląska, tkwi głównie w tym, że nie z własnej winy zaniechać ono musiało mowę ojczystą swych przodków, oddalić się musiało od rodzimej tradycji ludu śląskiego. Pod oddziaływaniem wychowania hitlerowskiego, w którym siła była najwyższym prawem, pod wpływem hasła rasistowskich o nordyckim nadszowieku, wpajano w nią fałszywy obraz o Polsce, uczono jej nienawiści do Polaków. **Niemniej młodzież ta jest z krwi naszej i należy do nas.** Na tej podstawie otrzymała obywatelstwo polskie i uzyskała prawa obywateli Państwa Polskiego.

Odbudowa życia polskiego na Ziemiach Odzyskanych oraz proces zjednoczenia ich z Państwem i Narodem Polskim nie może odbyć się bez udziału młodego pokolenia rodzimych Ślązaków. Stanowią oni pod względem gospodarczym poważną pozycję — jaka natomiast będzie ich rola w życiu narodowym Śląska, zależy będzie od intensywności wchłonięcia ich w organizm

Państwa i Narodu Polskiego. Nieliczne tylko jednostki spośród społeczeństwa rozumieją ten problem i wykazują zainteresowanie sprawami repolonizacji młodego pokolenia Ślązaków. Młodzież ta żyje dotychczas raczej na marginesie życia polskiego na Śląsku. Poważna ilość spośród niej uczęszcza na kursy repolonizacyjne organizowane przez Oświatę Dorosłych. Warunki psychiczne i materialne, w jakich młodzież ta żyje, stanowią poważną przeszkodę w osiągnięciu dobrych wyników nauki. Rozmowy przeprowadzone z uczestnikami kursów repolonizacyjnych wykazały, że młodzież posiadająca wykształcenie na poziomie średnim (nawet po maturze) oraz wystarczającą znajomość języka polskiego, **wyzyskiwana jest na ogół do wykonywania najniższych prac.** Opolanki Polki, nie raz po maturze pracują jako zamiataczki ulic, sprzątaczkę po biurach, służące po domach prywatnych, robotnice po fabrykach itd. Na zapytanie, czy uczestnicy kursów zwrócili się na piśmie do poszczególnych przedsiębiorstw, odpowiedzieli: „Ile razy już do nich pisałem, ale pewnie nos tam za błóżną mają”. Wyjątkowo życzliwy stosunek do elementu śląskiego wykazało jedno z poważnych przedsiębiorstw na terenie miasta Gliwic. Dyrektor tej firmy oświadczył: „Rozmach w pracach firmy oraz sprawne jej funkcjonowanie zawdzięczam głównie okoliczności tej, że zatrudniam w przedsiębiorstwie swym 50% rodzinnych Polaków (w tym 35-40% młodych)”. Wręcz odwrotnie postępuje inna firma na terenie tego samego miasta, która oświadczyła, że tych Polaków za 20 zł (tyle wyniosła opłata za zaświadczenie obywatelstwa polskiego) zatrudnić nie będzie. Jak wynika z oświadczeń uczestników kursów oraz nauczycieli prowadzących tam naukę, młodzież ta chętnie się uczy i garnęłaby się do dalszej nauki — cóż kiedy nie ma ku temu warunków, a w możliwości społecznego awansu na ogół nie wierzy.

Czy w tej atmosferze psychicznych zahamowań dokonać się może proces przeobrażenia w duchu polskim? Czy z duchem narodu polskiego i jego kulturą związać się może młodzież, która patrzy bez wiary i ufności w przyszłość swą? Czy na straży granic polskich na zachodzie stać będzie

pokolenie młode, które żyje poza nawiasem życia polskiego?

O trudnościach w procesie repolonizacji młodzieży po wychowaniu hitlerowskim, pisze również Stefan Sulima w artykule „Laboratoria polskości” (Odra nr 40): „Rozbudzenie polskości nie jest jednak sprawą prostą. Jest to bądź co bądź operacja duszy i jako taka przeprowadzona być musi z maksymalną ostrożnością, doświadczeniem i niemałą dozą subtelności. Nie dokonuje się ono bez wstrząsów wewnętrznych i bez wewnętrznych oporów w psychice pacjentów... i wymaga iście samarytańskiego oddania się ze strony wychowawców”.

Problem spolonizowania młodzieży rodzimej Śląska Opolskiego, która została zwerifikowana, zasługuje na szczególną uwagę i to zarówno ze strony społeczeństwa polskiego jak i czynników miarodajnych. Prze prowadzenie rejestracji, która nam ujawni w jakim położeniu młodzież ta się znajduje, jak żyje i czym się trudni, byłoby rzeczą jak najbardziej wskazaną. W ośrodkach, które posiadają poważną ilość młodzieży rodzimej, powstać winny w oparciu o kursy repolonizacyjne — komitety miejscowe, które zaopiekują się młodzieżą, kierując ją w miarę opanowania języka polskiego na stanowiska i posady, odpowiadające kwalifikacjom kandydatów. Młodzież, która pragnie się kształcić dalej, winna być również skierowana na odpowiednie kursy, uczelnie itd.

W pracy nad repolonizacją młodzieży śląskiej Uniwersytety Ludowe odgrywają rolę niezmiernie ważną. Skupiają one przede wszystkim młody element Śląska Opolskiego, który pod wpływem specyficznego klimatu duchowego oraz w obcowaniu ze skarbnicami kultury rodzimej i ogólnopolskiej przełamuje się i deklaruje po stronie wrodzonej narodowości. W chwili obecnej Uniwersytety Ludowe na Śląsku Opolskim walczą z dużymi trudnościami gospodarczymi i z tego względu możliwości ich oddziaływania są znacznie ograniczone.

Rozwiązanie zawiązanego problemu spolonizowania młodzieży Śląska Opolskiego musi nastąpić szybko i w oparciu o dokładne studium jej życia, warunków oraz jej psychiki.

Bliski Śląsk

Bliski jest Śląsk. Nawet zewnętrzny wygląd jego zabytków budzi wspomnienia, nasuwa analogie. Gdzieś na terenie innych części Polski są takie same wieże i baszty, podcienia, arkady, dziedzińce, bramy — spróbujmy odpowiedzieć, gdzie?



Brama Nadodrzańska Zamku Piastowskiego w Brzegu.



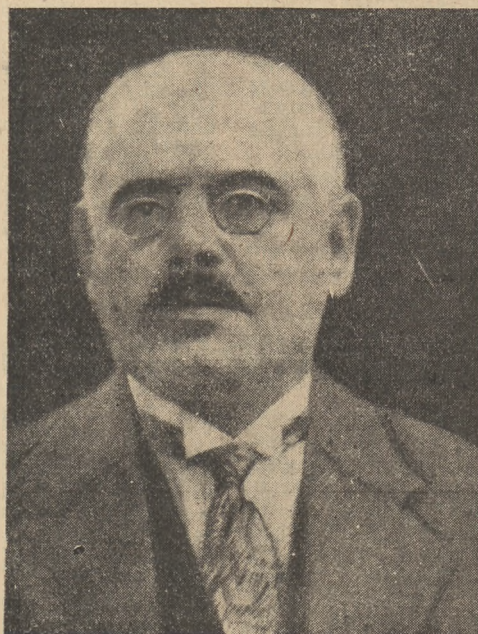
Dziedzińiec zamku Oppersdorffów w Głogówku.



Wieża obronna w Białej koło Prądніка. Fot. Józef Dańda, Katowice.

Wiktor Bazielich

Jilije Beneszić



Nie wiem na pewno i trudno mi sprawdzić, ale zdaje mi się, że literatura nasza nie posiada wśród obcych drugiego tak gorliwego i oddanego propagatora i tak płodnego a znakomitego tłumacza, jakiego ma w Jugosławii w osobie Juliusza Beneszicia. Pisząc o nim przed 15 laty, gdy zawiatał do Polski, nazwałem go ambasadorem naszej literatury w Jugosławii. Był nim wtedy i jest nim do dzisiaj, a bynajmniej nie wybiera się na dobrze zasłużoną emeryturę, choć z powodu wieku jest już faktycznie na emeryturze. W 1943 r. obchodził 60-lecie urodzin. Rodacy uczcili go wtedy na swój sposób. U nas, w mrokach Frankrajchu, nie było możliwości uczcić tego jubileuszu.

Tak się jednak zdarza, że w ubiegłym roku przypadło 45-lecie jego pracy literackiej, a zarazem pierwszej publikacji na tematy polskie. Jako 18-letni student gimnazjum w Osijeku napisał młody Beneszić monolog „Godine 1795”. (W roku 1795), który zamieściło czasopismo dla młodzieży „Nova Zvijezda” (Nowa Gwiazda) w 1901 r. Jest to pierwszy jego drukowany utwór literacki. Ten sam monolog pod tym samym tytułem umieścił 60-letni jubilat na czele książki „Kritike i czlanci” (Krytyki i artykuły), wydanej w Zagrzebiu w 1943 r. Podkreślam: w 1943! A więc wtedy, gdy zgraja niemieckich łotrów imię Polski skreśliła z mapy Europy, a w tak zwanej „niezależnej” Chorwacji faszystowskie rządy Paweliciowych ustaszoów ręką w rękę z Gestapo równie gorliwie prześladowały polskość. Małą ilustracją może tu być fakt, że jeden z chorwackich krytyków literackich, pisząc w czołowym miesięczniku literackim, jakim była „Hrvatska Revija”, obszerny artykuł o twórczości Beneszicia z okazji 60-lecia, pominął w nim zupełnie jego działalność przekładową.

Monolog ten, „fantastyczna nowelka o trzecim rozbiore Polski, zawierają skargi nawpół obłąkanego Polaka nad upadkiem ojczyzny” — jak to sam autor określił w jednym ze swoich odczytów.

„Czyż Ty, Królowo Polski, Matko Boża, nie przyjmiesz na swe łono ukrzyżowanej ojczyzny Sobieskiego? Zdejm ją z krzyża, a ona zmartwychwstanie! Tak, ona zmartwychwstanie, tak ona musi zmartwychwstać, tylko czekajcie!...”

Upaść, a duszę jego unieśli aniołowie z ziemi do nieba, gdzie rozlegała się pieśń wolnego kraju, do nieba, gdzie chóry anielskie w trąby trąbiły: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

— Minął sen! Jestem sam w pokoju! Lampa dopala się, drga. — Deszcz pluszczy. Wszystko milczy... Wszystko się mąci, wszystko znika... widzę tylko ogień... słyżę tylko wrzawę piekielną „Boże carja chrani!”... padam, umieram i słyżę głosy niebieskie: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

To były jego ostatnie słowa. I takie są ostatnie słowa tego młodzieńczego debiutu naszego przyjaciela. „Jeszcze Polska nie zginęła!” — woła na czele książki wydanej w 1943 roku! Na przekór całemu zbrodniczemu trzeciemu rajchowi i Pawliciowym jego slugosom, gdy inny nasz przyjaciel, Josip Ham, lektor języka polskiego w Zagrzebiu, dostaje się do obozu koncentracyjnego. Jakim cudem udała się ta sztuka Benesziciowi bez podobnych dla niego skutków, to Bóg sam raczy wiedzieć.

A dalsza zawartość tej jubileuszowej książki „Kritike i czlanci”? Na 46 felietonów, szkiców i artykułów na temat chorwackich autorów i sztuk teatralnych, poezji japońskiej, Ibsena, Shaw’a, Szekspira, Czechowa, Wilde’a — 18 pozycji o Przybyszewskim, Irenie Solskiej, Wandzie Siemaskowej, Z. Krasinim, Żeromskim, Sienkiewicz, Słowackim i sprowadzeniu jego zwłok, Reymontowych „Chłopach” i o wsi Lipce, Al Brücknerze, 400-iej rocznicy Kochanowskiego, 23-stronicowa rozprawa o Wyspiańskim, listy z Krakowa i Częstochowy. A zatem więcej niż 1/3 książki poświęcona sprawom polskim.

Jakże ten nasz druh serdeczny, ten Chorwat z prowincjonalnego miasteczka, gdzie nikomu nie śniło się o Polsce i Polakach, doszedł do Polski, do umiłowania jej literatury i to w czasach, gdy tylko na mapie historycznej można było Polskę znaleźć? Opowiedział o tym w odczycie „Moi koledzy Polacy”, wygłoszonym na polsko-jugosłowiańskim festiwalu literackim w Warszawie 1931 r.

Jako 15-letni uczeń gimnazjum w Osijeku wypożyczył z uczniowskiej biblioteki przypadkowo Krasickiego „Pana Podstolego” w chorwackim przekładzie Tkalczewicia. „Bezwarunkowo lektura arcynudna dla 15-letniego chłopca, — odpowiada — jednakowoż jej pierwszej zawdzięczał swe przywiązanie do języka polskiego. W tym to przekładzie były wiersze z Psalterza Kochanowskiego, zastawione w brzmieniu oryginału przez tłumacza, ich

przekład jednak podany był w odsyłaczu”. I oto rewelacyjne wprost odkrycie olśniewa chłonny umysł młodego chłopca: „Prawie tak samo brzmi w moim języku jak po polsku!” Postanawia zaraz nauczyć się tego języka. Niestety nie było jeszcze wtedy chorwackiej gramatyki języka polskiego. Sprowadza więc samouczek niemiecki i morduje się z jego zawisłościami w objaśnieniach czytania polskich liter. Aż jako szóstoklasista nabiera odwagi: ułożywszy odpowiedni tekst po polsku, wysła kilka-kilka kartek „do kolegów uczniów VI klasy gimnazjalnej” w Krakowie, Łodzi, Lwowie, Stanisławowie, Wilnie, Lublinie, Toruniu, Warszawie, Poznaniu, oznajmiając, że jako Chorwat chciałby w drodze korespondencji nauczyć się po polsku, w zamian za wtajemniczenie w arkana języka chorwackiego. Niebawem zaczęły napływać odpowiedzi, a potem książki, fotografie, nuty, czasopisma. I tak „zaczęła się naiwna wymiana myśli między chłopcami z nad Wisły i Warty a mną, który oczekiwałem tych listów, jak gdyby były od kochanki”. A trwała kilka lat. Poznał z niej Beneszić nie tylko język polski, lecz dowiedział się także o pruskiej hakacie, o strasznych ucisku i prześladowaniach. Dyrektor gimnazjum w Osijeku otrzymał nawet zapytanie

od carskiej policji w Łodzi, czy ów Beneszić jest rzeczywiście uczniem, czy też może jakim szpiegiem i prowokatorem. Z politycznych względów musiała się urwać korespondencja z kilku kolegami z zaboru pruskiego i carskiego.

Znalazłszy się po maturze na medycynie w Wiedniu, pierwsze swe kroki skierował do „Ogniska Polskiego”, „żeby nareszcie zobaczyć pierwszego żywego Polaka, żeby usłyszeć żywą polską mowę”, a w kilka miesięcy później puszcza się w drogę do Polski, do Warszawy i Krakowa, aby osobiście poznać się z kolegami znanymi tylko z korespondencji i zetknąć się bezpośrednio z żywiołem polskim.

Medycynę porzuca wnet dla sławistyki i studiuje ją w Petersburgu, Wiedniu, Krakowie, Pradze, Zagrzebiu i znowu w Krakowie, gdzie przepędził razem 5 semestrów, słuchając wykładów Tarnowskiego, Zakrzewskiego, Łosia, Zdziechowskiego. W czasie studiów krakowskich pisuje do kilku chorwackich dzienników i czasopism literackich korespondencje na tematy polskie, a w „Czasie” i „Świecie Słowiańskim” informuje polskie społeczeństwo o sprawach południowych Słowian. Na przypomnienie zasługuje tu szczególnie polemika, jaką stoczył na łamach zagrzebskiego „Po-

kretu” w 1907 r. z obrońcą słynnego pamfletu Björnsona o stosunkach polsko-ruskich w byłej Galicji, ukrywającym się pod kryptonimem „T. Z.” Rusinem, docentem zagrzebskiego uniwersytetu. Przygwoździł w niej wszystkie fałszywe i kłamliwe nie przebiegające w środkach walki filogermanskiego ukrainizmu odrzucającego wszelką współpracę z klubami słowiańskimi w parlamencie wiedeńskim, a łączącego się tylko z Niemcami. Beneszić zbił bez reszty wszystkie twierdzenia przeciwnika i zapędził go w kozi róg. Otwarte i bezstronne to wystąpienie ugruntowało nasze stanowisko w opinii Chorwatów.

W okresie swych studiów uniwersyteckich rozpoczął też Beneszić swą działalność przekładową. Bibliografia jego przekładów, zamieszczona na końcu książki „Kritike i czlanci”, zawiera 76 pozycji, z czego aż 67 dzieł polskich autorów i to tylko większych, gdyż tłumaczeń drobniejszych utworów, drukowanych po różnych czasopismach i dziennikach spis ten zupełnie nie uwzględnia. Trzeba to mieć na uwadze, gdy liczbą pozycji chce się określić jego trud w tę pracę włożony, tudzież przypomnieć sobie, że np. „Chłopi” Reymonta czy „Dzieje grzechu” Żeromskiego to nie jeden tylko tom. Czymże kierował się Beneszić przy wyborze tłumaczonych utworów? W odczycie „Mój pobyt w Polsce”, wygłoszonym w Warszawie w 1932 r., powiedział na ten temat: „Nikt nigdy nie kierował moimi studiami, moimi sympatiami. Były to zawsze kaprysy i osobiste upodobania. Tłumaczyłem co mi się podobało, nie to, co było modne albo pożądane; celem mej pracy było zawsze zrobić sobie przyjemność przez to, że np. „Protesilasa i Laodamię” Wyspiańskiego można także ładnie po chorwacku przetłumaczyć. Mam nawet trzy własne przekłady tego dramatu. Słowackiego „W Szwajcarii” aż cztery”.

Chronologicznie i ilościowo wybijają się sztuki sceniczne, a wśród nich znajdują się Wyspiańskiego Protesilasa i Laodamia, Śmierć Ofelii, Sędziowie, Warszawianka, Wyzwolenie i Kłątwa, Słowackiego Balladyna i Lilla Weneda, Krasiniego Nieboska komedia, Mickiewicza Dziady, Nowaczyńskiego Fryderyk Wielki i Ludzkie miłosierdzie, Przybyszewskiego Śnieg, Perzyńskiego Lekkożylna siostra, Majowe słońce, Aszantka i Dziękuję za służbę, Fredry Damy i huzary, Rostworowskiego Niespodzianka, Rydla Na zawsze, Nałkowskiej Dom kobiet i Dzień jego powrotu, Winawera Roztwór prof. Pytła, Księga Hioba i R. H., inżynier, Zapolskiej Moralność pani Dulskiej i Ahaswer.

Zbigniew Pejot

Warszawskie odwiedziny teatralne

Państwowy Teatr Polski wystawił po długich oczekiwaniach pierwszą sztukę w sezonie — „Penelope” Ludwika Hieronima Morstina. Nie jest ona inauguracją sezonu, bo jak zapowiada wkładka do programu, ma wypełnić okres międzysezonowy.

„Penelopa” ma być „beztroską igraszką intelektualną”, jak stwierdza sam autor. Stwierdzenie może za skromne, bo sztuka jest nie tylko „igraszką”, której pełnię smaku czują intelektualiści, ale posiada — w dobie powrotów mężów do mniej lub więcej stęsknionych żon — niezmiernie aktualny problem, który, jeżeli nie jest tak widoczny na powierzchni naszego życia, to tylko przez swoją specyficzną atmosferę intymności, jaka istnieje w związku dwojga ludzi. Z całego świata wracają mężczyźni do swych kobiet, nie zawsze znajdując to do czego tęsknili, a często wracają nie tacy, na jakich kobieta czekała. Ileż rozczarowań, smutków, często tragedii. Ileż ludzi wykolejonych, często na długie lata, nie zdolnych do żadnej porządnej pracy.

Sztuka Morstina, kojarząc elementy formalne o charakterze greckim z treścią niesłychanie żywą i aktualną, stawia zagadnienie stosunku mężczyzny i kobiety na płaszczyźnie wyrozumiałości i wybaczenia. Bo o cóż właściwie chodzi? Znamy dzieje Penelopy, która otoczona zalotnikami, czekała na męża — Odysa, długie lata walczącego pod Troją, a później uwodzonego przez baśniowo piękne kobiety, usiłujące go sprowadzić z drogi wierności. Mimo wszystko Odys wraca — u Morstina — moment przed zdradą wiernej mu dotąd małżonki. Chociaż przyjaciele i sama Penelopa — zapewniają go o wierności żony — nie wierzy i usiłuje dowiedzieć się nazwiska kochanka. Penelopa jest bardziej wy-

rozumiała, mimo że zna miłosne perypetie małżonka, wybacza mu i w imię wspólnej miłości („jak ty mnie kochasz, Odysie!”...) przekonuje o swej wierności i oddaniu. Pieśnią, sławiącą wierność Penelopy, kończy się komedia.

Nie pierwsza to sztuka Morstina, poruszająca wieczny aktualny problem współżycia mężczyzny i kobiety. Pamiętamy „Obronę Ksantypy”, graną w Teatrze Polskim tuż przed wojną. Pokazał nam tam autor życie kobiety, towarzyszkę i przyjaciółki człowieka niezwykłego, żyjącego w świecie o wymiarach filozoficznych, do którego nie docierają kłopoty dnia codziennego. Trudności te zwalcza kobieta bez wahania, wymagając od męża jedynie odrobiny zainteresowania dla jej osoby. Nie obchodzi jej „ważne” sprawy męskie — koncepcje filozoficzne, wojny, zburzenie Troi itd. Kobieta w swym prymitywnym instynkcie wie dobrze, że koncepcje filozoficzne nie zastąpią jęczmiennego placka i mleka dla męża i dzieci, a wojna burzy nie tylko miasta wroga, ale i szczęście własnego kraju, a z nim i szczęście osobiste. W kobiecie nie ma „męskich ambicji” — do szczęścia dąży przez miłość i harmonijne współżycie z kochanym i kochającym człowiekiem. „Nie ma kobiet złych i dobrych, są tylko zawiedzione w miłości i szczęśliwe” — mówi Ksantypa w „Obronie” — i to jest zasadnicza teza obu komedii, zresztą bardzo podobnych w charakterze. W obu tych sztukach Morstina jest rzecznikiem interesów kobiety. Można powiedzieć, że nawet występuje w jej obronie, wykazując różnicę w budowie psychicznej kobiety i płynące z tego obowiązki mężczyzny.

Szkoda tylko, że „Penelopa” nie jest tak świetną sztuką, jaką jest „Obronę Ksantypy”, której najbardziej wymagający nie mogli nic zarzucić, gdy tymczasem sztuce o wierności małżonki Odysa brak jest zwięzłości i celowości, tak doskonałych w „Obronie”. Wydaje się, jakby autor powtórzył ulubiony temat, ale już na drugą sztukę nie starczyło mu tak świetnego twórczo.

Jeśli porównamy postacie z obu sztuk: Penelopa — Ksantypa, Odys — Sokrates, Antinoj — Charmides, Melanto — Mirryna, Sofona — Hippodamia, Ktesyp — Tyreusz, to widzimy, że z wyjątkiem Odysa i Sokratesa — charakter pozostałych osób jest bardzo podobny. Z innych postaci: Telemach, syn Odysowy — nie „siedzi” w komedii. Jest chyba tylko po to, abyśmy wiedzieli, jak długo Penelopa czekała na męża i w jakim jest wieku, bo później zapomina o nim autor. Nie rozumiem powodu tego „zapomnienia”. Czy nie chciał nas autor rozpraszać drobiazgami, dążąc do skupienia naszej uwagi na sprawie zasadniczej — porozumienia głównych bohaterów? Czy może nie wygodny był mu dorosły syn przy Penelopie, o której się mówi w ciągu całej komedii, że jest śliczną? Wydaje mi się, że obecność syna w ostatnim akcie, na uczcie, nie zaszkodziła by, a tak — dziwnym się wydaje brak zainteresowania synem u Odysa. Te, drobne zresztą, niedociągnięcia literackie wypuklają się na scenie.

Oprawę dekoracyjną dała Węgierkowa przyjemną, posługując się przy oświetleniu nowymi, częściowo zainstalowanymi aparatami horyzontalnymi. Powiedziałbym jedynie, że w plein-air'ach za bardzo karmelkowa, a wewnątrz w drugim akcie (sypialnia Penelopy) nie dość zreżymie rozwiązane. Aktorzy w ciasnym przejściu, obok stołu, potykają się o róg podium, na którym stoi łóżko. Czy podium nie mogło być krótsze, albo róg zaokrąglony? Poza tym

Zeromskiego Uciekła mi przepióreczka i Ponad śnieg..., Żuławskiego Eros i Psyche, zresztą sztuki Katerwy, Kaweckiego, Grubińskiego, Kiedrzyńskiego, Leczyckiego, Morozowicz-Szczepkowskiej, Szaniawskiego i Wójcickiej Dyletanci, pierwsza sztuka, która w przekładzie Beneszcicia pokazana została na scenie (premiera w 1903 r.). Nie wszystkie z tych sztuk ujrzały światło kin-kietów, blisko połowa ujrzała w archiwach teatralnych, niemniej jednak niż 25 sztuk w jego przekładzie, nie licząc przekładów innych tłumaczy, wystawionych było za jego staraniem w Zagrzebiu, skąd niejedna z nich obiegła inne teatry jugosłowiańskie. Trzeba nadto zaznaczyć, że Wyspiańskiego Kłątwa nie u nas, ale właśnie dzięki niemu w Zagrzebiu po raz pierwszy dostała się na scenę (27. V. 1921), podobnie jak i Śmierć Ofelii (1910). Za jego też staraniem dały gościnne występy w Zagrzebiu Irena Sol-ska, Wanda Siemaszkowa i Stanisława Wysocka.

Osobną grupę przekładów z polskiego tworzą poezje, nowele i powieści, których we wspomnianej bibliografii znajdujemy 28 pozycji. Są to Choynowski Młodość, miłość, awantura, Kadena Bandrowskiego Miasto mojej matki, Nowakowskiego Przy-lądek Dobrej Nadziei, Rubikon i Start Edmunda Sulimy, Ossendowskiego Życie i przygoda małpki, Parandowskiego Niebo w płomieniach (1941), Perzyńskiego Raz w życiu, Prusa Grzechy dzieciństwa, Przygoda Stasia, Pomyłka, Antek, Reymonta Ziemia obiecana i Chłopi, Sienkiewicza Na polu chwały i W pustyni i w puszczy, Słonimskiego Moja droga do Rosji, Słowa-ckiego W Szwajcarii, Struga Mogiła nie-znanego żołnierza, Weysenhoffa Żywot i myśli Podfilipińskiego, Wittlina Sól ziemi (1940), Wyspiańskiego Bolesław Śmiały, Zeromskiego Dzieje grzechu, Przedwiośnie, Wiatr od morza, Ludzie bezdomni, Aryman mści się, Inter arma i O żołnierzu tułacz, tudzież antologia „Polska liryka”. Dwie z tych książek wydane zostały już w czasie wojny, a w obecnym 1946 roku seria ta zwiększyła się o jedną jeszcze pozycję wy-sokiej klasy, o Lalce Prusa.

Wszystkie przekłady Beneszcicia są wprost niezrównane, widać, że wyszły spod pióra nie tylko świetnego znawcy obu języków, lecz także wielkiego poety i estety. Aby nie być gołosłownym, przytoczę dwa frag-menty z przekładu tak zwignego poematu, jakim jest Słowackiego W Szwajcarii:

„Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, umieram z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki

Do tej zbawionej i do tej kochanki...“
co w przekładzie chorwackim Beneszcicia (w transkrypcji polskiej) brzmi następu-jąco:

„Odkąd je nestla kao zlatnog sanku,
Wenem od tuge, czeznem bez prestanka.

I ne znam zashto duh se moj ne krene
Iz pepela tog u wisine njene.
Zashto ne leti preko rajskog praga,
Gdje spasena mi sad borawi draga?“

Nawet kto nie zna języka serbo-chorwa-ckiego, czuje w tym dźwięczność i śpiew-ność i czar arcydzieła Słowackiego. A kto ma pod ręką znany wiersz Wyspiańskiego, niech porówna choćby jego początek z tym oto przekładem:

„Hociu, da u lietni dan,
u žarki lietni dan
pred moim okom žanju kraj,
da srpa czujem zweket ja
i cwrcka szpat, szum,
i preda mnom da pokose
u snopu žita kukolj saw.
Hociu da widim, czujem ja u žarki dan
kosidbu dobrog bilja, zlog,
i kako se sa požetih
poliana diže pticzi rod
na ždrielo.
Da widim, czujem žamor tih
zelenih, zlatnih muha;
da widim, czujem, napnem sluh,
kad s cwiecia pada pelud lak...“

Niewiele, bardzo niewiele naszych arcy-dzieł znalazło tak kongenialnego tłumacza na obcy język.

Jeszcze jeden fakt zasługuje tu na pod-kreślenie. Oto w trakcie pracy nad prze-kładem „Chłopów“ zapragnął Beneszcic skonfrontować ich treść z rzeczywistością lub przynajmniej resztkami czy śladami tego, co Reymont na własne oczy oglądał, zanim przetrwał w twórczość literacki. Ni-komu z naszych krytyków i badaczy Rey-monta nie przyszło na myśl, aby oglądnać te rzeczywiście Lipce, leżące opodal War-szawy między Rogowem a Pływią i wi-doczne z okien pociągu. Iluż zresztą Pola-ków wie o tym? Dopiero ten zakochany w Polsce Chorwat szukał „Chłopów“ w Lipcach, a o tym, co tam widział i słyszał, opowiedział swoim ziomkom w ciekawym szkicu „Selo Lipce“, zamieszczonym 1933 r. w miesięczniku „Hrvatska Revija“ i po-wtórzonym w zbiorze „Kritike i članci“.

W 1919 r. objął Beneszcic lektorat języka polskiego na uniwersytecie zagrzebskim i pełnił te obowiązki aż do 1930, kiedy na-reszcie spełniło się drugie jego wielkie marzenie: zamianowany został delegatem jugosłowiańskiego Ministerstwa Oświaty przy poselstwie jugosłowiańskim w War-szawie. „Jako człowiek, który chciał dostać się do Polski, który się do prostu pchał, żeby być w Polsce, który w Polsce był, gdy Polski urzędowo na mapie nie było... siedem lat walczył, żeby się po wskrze-szeniu Polski dostać do Warszawy“ — spo-wiada się później w drugim ze wspomnia-nych już odczytów. Rzuca ukochaną matkę-старuszkę i przybywa do Warszawy, aby pracować nad zbliżeniem kulturalnym polsko-jugosłowiańskim i pozostaje tu całe 8 lat, choć klimat wybitnie mu nie służył.

W Warszawie rozwija z zapałem nową działalność: jest lektorem języka serbo-chorwackiego na uniwersytecie i redaguje „Bibliotekę Jugosłowiańską“, zdobywszy fundusze od jednego ze swoich ziomków i niejednokrotnie dokładając z własnej kie-szeni. Praca idzie opornie, powoli. Nie ma literatów, a zwłaszcza poetów, znających dostatecznie język ojczysty Gundulicia i Njegosza, nie ma gramatyki ani słowni-ków, mało kto zna realia. Wszystkiemu musi zarządzić redaktor-entuzjasta. Wszys-tkie poematy i poezje, a w ramach „Bibli-oteki Jugosłowiańskiej“ wydał ich 5 tomów, tłumaczy najpierw sam wiernie na język polski, a dopiero potem dobrani poeci-tłumacze przyoblekają te przekłady w szatę poetycką. Ze słownictwem i realiami też nie miały kłopot. Zanim przekład „Nieczy-stej krwi“ Stankowicia zostanie ostatecznie wygładzony i oddany do druku, sam redak-tor i wydawca musi pojechać do Jugo-sławii i tam w zapadłej wioszynie muzul-mańskiej chodzić od chałupy do chałupy, aby ustalić terminologię najróżniejszych sprzętów i ich części. Gramatykę i słownik, które trzeba dać tłumaczom do ręki, musi sam opracować. Jako owoc tych jego wy-siłków dostaje czytelnik polski w latach 1931—1939 w znakomitych przekładach 13 tomów poezji i prozy klasyków i naj-wybitniejszych autorów jugosłowiańskich, o których dotąd nie miał najmniejszego pojęcia. Są to po kolei Mažurancića Śmierć Smail-agi, Cankara Nowele, Njegosza Gór-ski wieniec, Gundulicia Osman, Stanko-wicia Nieczysta krew, Czubranowicia Cy-ganka i Gundulicia Dubrawka, Sremca Pop Cyryl i pop Spirydion, Wojnowicia Stare grzechy, Siennickiej Uroda Jugo-sławii, Andricia Nowele, Krleży Chorwacki Bóg Mars, tudzież Wybór poezji ludowej i samegoż Beneszcicia Gramatyka języka chorwackiego czyli serbskiego, obejmująca 849 stron druku! Ta ostatnia drukowana ze-względów technicznych w Zagrzebiu, z po-wodu wybuchu wojny nie dotarła już do Polski. Dopiero w bieżącym roku Amba-sada Jugosłowiańska sprowadziła kilka egzemplarzy. Każdy zaś z przekładów po-przedzony wstępem specjalisty, wprowa-dzającym czytelnika polskiego w twórczość danego autora i atmosferę utworu.

Wybierając się w 1930 r. do Warszawy, do tej Polski, o której wtedy jeszcze „kiedy nie mógł marzyć, że powstanie Jugosławia, lubił marzyć, że się odrodzi“, kierował się czystym sentymentem, który „nie miał nigdy na widoku zysków, a najmniej sławy, uznania czy wzajemności“. Teraz, w nowej Jugosławii, jest wiceprezesem i faktycznym kierownikiem Towarzystwa dla kulturalnej współpracy Chorwacji z Polską.

Boy-Zelenki żył dostatnio z dochodów swego pióra, a załugi jego rząd francuski nagroził Legią Honorową. Beneszcic żyje dziś z emerytury (wiadomo, co to znaczy), a ostatnią zimę przepędził w nie opalonym mieszkaniu...

razi czarnożółty fryz, nie wątpię, że we-dług autentycznych wzorów, ale nieprzy-jemnie wybijający się barwą z pięknie stonowanej całości.

Kostiumy bardzo przyjemne, o pięknie zestawionych barwach. Wydaje mi się tylko, że jeśli chodzi o męskie — bardziej wy-gładają na rzymskie niż na greckie. Suknie Penelopy za strojne, szczególnie w pierw-szym akcie za świąteczne, a mimo to wy-gładające nieco tandefnie (prawdopodobnie przydziałowy kiepski jedwabik). Są to oczywiście drobiazgi, nie umniejszające wartości przedstawienia, na które, przy-znaję, jechałem ze strachem. Młody reży-ser, dekoratorka, nie pracująca dotąd na tematy antyczne, Tym przyjemniej stwier-dzić, że z trudności wybrnęli zwycięsko. (Tylko dlaczego grusza w III akcie chwije się tak niebezpiecznie?)

Nie wiem, czy to zasługa reżysera, czy aktorów, ale gra ich na ogół trafia w ton komedii i pięknie wydobywa intencje autora. Wydaje mi się jedynie, że sce-niczną postać Melanto, w wykonaniu Ju-styny Karpińskiej, odbiega nieco od arty-stycznej koncepcji autora. W moim pojęciu Morstin chciał pokazać młodą dziewczynę, żadną miłości, użycia, ale nie nadużycia, oo widać w interpretacji Karpińskiej.

Romanówna, nie widziana od sześciu lat, stworzyła jako Penelopa postać zwartą, konsekwentną, pogłębiając — określam ją jednym słowem: dojrzałą. Może za mało macierzyńską w scenie z Telemachem, świetna w dialogach z Odysem, szczególnie w akcie II, a wręcz znakomita w scenie ostatecznego pojednania w III akcie. Przy-jemność słuchania psuła mi tylko, dziwna u takiej artystki, maniera zniekształcania samogłosek. Czyżby w ten sposób chciała pokryć brak potęgi głosu w dramatycznych momentach dialogu?

Krecmar dał nam Odyśa wspaniałego w całej swej krasie męskości, bohaterstwa i... zadróżki posiadacza. Stworzył postać

zwartą, ale chłodną. Nie widać w nim tęsknoty do kraju, do żony, o synu nie pa-mięta (z winy autora) — wydaje się, że jedynym jego zainteresowaniem jest zdrada i wierność Penelopy.

Ktessyp, jak już powiedziałem, jest po-stacią dość sztucznie włożoną w ramy komedii. Dlatego odtwarzając ją, zresztą świetnie, Dominiak — przerysował ją nieco, stwarzając postać, nie pozbawioną akcent-ów humorystycznych, ale ciężką.

Wręcz znakomity był Brydziński w roli Laertes, starego ojca Odyśa. Scena przy-witania z synem, pełna akcentów szczerze ludzkich, do łez wzruszająca, może naj-bardziej oddaje stosunek autora do ludzi i życia.

W sumie widowisko bardzo udane i za-powiada duże powodzenie u publiczności, która znajduje w nim wiele tonów, dźwię-czących w duszy każdego człowieka.

* * *

Następną premierą Teatru Polskiego ma być komedia Sheridan'a w tłumaczeniu Wojciecha Bogusławskiego. Będzie to pierw-sza premiera od czasów Stanisława Ponia-towskiego (rok 1793), kiedy to ojciec sceny polskiej przetłumaczył sztukę, rozpiął na role i wyreżyserował — podobno wszystko w ciągu dziesięciu dni — i wystawił na doroczną uroczystość koronacyjną. Było to kilka lat po premierze londyńskiej! Ciekawym szczegółem jest fakt, że komedia ta jest tak spolonizowana, a ściślej „zwarsza-wizowana“ (jak podaje wkładka do pro-gramu Teatru Polskiego), że niczem nie przypomina swego londyńskiego wzoru. Komedie tę wystawił przed wojną Teatr Narodowy w Warszawie, ale we współ-czesnym tłumaczeniu.

Poza tym ukaże się również „Oresteja“ Ajschylosa, w przekładzie profesora Srebrnego. — Reżyseruje Szyfman, dekora-cje Waław Borowski, znakomity malarz

i znawca starożytnej Grecji, muzyka — profesor Tadeusz Szeligowski (ilustrował „Oresteję“ przed wojną w Wilnie). Zadanie ogromne — nawet jak na reprezentacyjny teatr stolicy. Współpraca takich specjali-stów pozwala jednak przypuszczać, że jedno z największych arcydzieł literatury świa-towej wypadnie poprawnie, co byłoby wielkim sukcesem reżyserskim i insceniza-cyjnym, debiutującego, jak się zdaje, na terenie tragedii antycznej Szyfmana.

Na Festiwal Szekspirowski ma przygo-tować Teatr Polski „Hamleta“ — również pod kierunkiem dyr. Szyfmana.

Koniec sezonu ginie w mgłę niejasnych przewidywań: jedna ze sztuk Ostrowskiego (przekład prawdopodobnie Tuwima)... ja-kąś sztuką na jubileusz Brydzińskiego. To wszystko.

Szkoda, że w przewidywaniach tych nie uwzględniono klasycznego repertuaru polskiego. Słowacki, Wyspiański, Fredro — idą w zapomnienie. Kiedy dorastająca mło-dzież, która nie zdążyła przed wojną poznać arcydzieł polskiej literatury drama-tycznej, a nie miała możliwości w czasie okupacji, będzie mogła zobaczyć wzorowe przedstawienia? Powie ktoś, że przez antyk, później Szekspira, stanowiących zręby współczesnego Teatru (ale Moliera już po-minięto!), dojdziemy do repertuaru polskiego, ale kiedy to nastąpi, przy uporczy-wym wygrywaniu sztuk przez Teatr Pol-ski? Idzie co prawda ciągle jeszcze „Lilla Weneda“, ciesząca się bez przerwy dużym powodzeniem.

Gra się poza tym „Majątek albo Imię“ i uporczywie, bez powodzenia „Papugę“. „Grube Ryby“ po 101 przedstawieniach zeszyły z afisza z powodu wyjazdu Ludwika Solskiego na odpoczynek do Krakowa. Cieszyły się do końca wielkim powodzeniem, chyba tylko ze względu na Nestora Sceny Polskiej, bo przedstawienia były bardzo dalekie od doskonałości.

Kronika słowiańska

SED a sprawa łużycka

Wychodzący w Libercu dziennik czeski „Straž Severu“ poświęca w numerze 250 z 1 listopada ub. r. artykuł „Lužyce w świe-tle kampanii wyborczej“ zainteresowaniu, jakie przejawia ostatnio dla sprawy łu-życkiej niemiecka partia jednoci socjali-stycznej (SED): „Jej dążenia i cele wy-raźnie przebijają w prasie a przede wszyst-kim w gazecie „Lausitzer Rundschau“, która jest przeznaczona dla Łużyczan i jest organem SED. Po początkowych atakach na Łużyczan, że walczyli tak jak i inni Niemcy przeciw sprzymierzonym i dlatego nie mają mieć przywilejów przed nimi i za dążenia Łużyczan do połączenia się z Czechosłowacją, zmienił się ostatnio spo-sób pisania tego pisma, zwłaszcza po umowie SED z Domowiną, która w wybo-rach do sejmików krajowych i powiato-wych nie mogła wystawić własnych kan-dydatów, gdyż nie jest uznana za organizm polityczny, ale tylko kulturalny. Ponieważ SED w swym programie umieściła i reform-ę rolną i parcelację wielkich majątków i inne hasła, które narodowi łużyckiemu jako rolniczemu są najbliższe, wezwała Domowina swych członków, aby przy wy-borach oddawali swe głosy na SED. Na listach były umieszczone i nazwiska nie-ktych Łużyczan, jednak nie w takim stosunku, w jakim by wypadało w stosun-ku do ich stanu liczebnego i na takich miejscach, że mieli słabą nadzieję na wy-bór. Niemcy urządzają zjazdy „demokra-tycznych“ partii i zapraszają na nie i Łu-życzan. Niedawno był zwołany do Budzi-szyna zjazd młodzieży t. zw. łużyckiej, był to jednak zjazd FDJ, to jest Freie Deutsche Jugend. Szczytem wszystkiego jest wszak-że deklaracja Domowiny umieszczona w numerze 112 „Lausitzer Rundschau“ z 10 października 1946 a podpisana przez Jana Cyža (pisane po niemiecku „Ziesche“) i P. Nedo, w której mowa jest, że Domowina widzi w konstrukcyjnym planie SED gwa-rancję trwałego pokoju i wytworzenia przyjaznych stosunków z sąsiednimi na-rodami. W nim widzi też podstawę dla pokojowego rozwoju narodu łużyckiego. Dosłownie brzmi to tak: „Także Domowi-na jest przekonana, że bez zjednoczenia Niemiec nie można przeprowadzić koniecz-nej demokratyzacji. Domowina przez tę deklarację wykazuje, że jest w zupełności świadoma swej przynależności do Niemiec i swej wysokiej politycznej odpowiedzial-ności za kulturalną, gospodarczą i politycz-ną całość i że w pełni uznaje SED jako obrońcę kultury łużyckiej.“ Do tej dekla-racji nie trzeba wiele wyjaśnień. Znaczy ona zupełny przewrót w dążeniach łuży-ckich. Dotychczas dążyli do wolności, do oderwania od Niemiec, teraz widzą swe wybawienie w stanie, w którym się znaj-dują. 17 października ta sama gazeta umie-szcza pod tytułem „Lužycanie a Niemcy — podróż po północnym kraju budziszyń-skim“ rozmowę z paroma ludźmi z tego kraju. Między innymi w parafii Klix oświadczył tamtejszy proboszcz, że ludność łużycka nie wysuwa żadnych żądań, pra-gnie tylko prawa mówienia własną mową, uprawiania własnych obyczajów i zresztą dobrej współpracy z niemiecką ludnością dla dobra obu narodów. Między wsiami Milkel a Luppa skarżył się chłop Lelanz, że pewne koła obcych narodów dążą do przyłączenia Łużyc do Czechosłowacji. We-dług niego, ludzie, którzy do tego dążą, są to wariaci. „Dziś musimy wytworzyć szczę-śliwą i spokojną przyszłość. Kto z naszej nędzy chce wyciągać korzyści, jest wro-giem naszego ludu.“ Komentarz do tego artykułu jest zbędny, a można tylko przy-puszczać, że gdyby nie odpowiadał praw-dzie, to by Domowina protestowała. Do-mowina nie zajęła też żadnego stanowiska w stosunku do artykułu umieszczonego w „Der Kurier“ z 30 lipca 1945, w którym wyraźnie ironizowano na temat dążeń łu-życkich.“ (wspomniany artykuł z „Der Ku-rier“ z 30 lipca omówiliśmy w „Odrze“ z 15 września). jr

Czytajcie i prenumerujcie

„Odrę“! W „Odrze“ znaj-

dziecie prawdziwe odbicie

ciekawego i bogatego życia,

zwłaszcza kulturalnego,

Ziem Odkrytych!

Uwagi nad rokiem muzycznym

Postaram się dać krótkie zestawienie z całokształtu życia muzycznego Śląska za rok ubiegły. Spoglądając na dwanaście miesięcy pracy możnaby stwierdzić po prostu, że uczyniło się bardzo wiele. Ten bezkrytyczny jednostronny sąd, ten tak dziś popularny optymizm jest wtedy dobry, kiedy w grę wchodzi jedynie propaganda. Ale rachunek sumienia z całego roku — to po prostu także praca krytyczna, która musi nie tylko chwalić ale i pouczyć. To wszystko co w sezonie bezpośrednio po wojennym mogło być tolerowane, mogło uchodzić za rzecz mniejszej wagi — w nadchodzącym roku musi być poważnie wzięte pod uwagę. Nie możemy przecież stale żyć w prowizorium — nie możemy stale oglądać się za siebie.

Zaczynam od imprez koncertowych. Najważniejszym ośrodkiem ich jest Filharmonia Katowicka, pozostającą nadal pod kierownictwem administracyjnym Jana Niwińskiego. Filharmonia dawała trzy rodzaje koncertów, a mianowicie: koncerty symfoniczne (co drugi piątek), koncerty popularne (co drugą niedzielę) z prelekcjami oraz recitale solistyczne. Rzutując ogólnie, mogę stwierdzić, że poziom orkiestry filharmonicznej zasadniczo nie podniósł się, mimo, że blisko od roku pracuje nad nią Witold Krzeziński. Przyczyny należy doszukiwać się przede wszystkim w małym doświadczeniu dyrygenta, który acz ambitny i bezwarunkowo zdolny — nie zawsze potrafi dać sobie rady z trudniejszymi problemami prowadzonych utworów. Obok utworów na prawdę pełnowartościowych i ze wszechmiar ciekawych (koncert c Beethovena, IV symfonia Szymanowskiego, Koncert fort. Chaczaturiana) usłyszeliśmy szereg kompozycji przegranych już na dziesiątą stronę, jak również szereg utworów, które można by określić mianem nijakich (Dwie Chatki Kurpińskiego, II Koncert Fortepianowy Różyckiego). Z występów solistycznych podkreślić przede wszystkim dział pianistyczny, najliczniej w ubiegłym roku reprezentowany. Na czoło wysuwa się niewątpliwie Szpinalski — pianista o wysokiej kulturze, wyczuwający każdy styl i oddający każdą graną rzecz w zdrowej niczym nie przesadzonej interpretacji. Prof. Woytowicz w kilku swoich występach przekonał nas jeszcze bardziej jak dalece jest on zaangażowany wewnętrznie w impresjonizm francuski. Debussy w jego interpretacji doprowadzony jest chyba do szczytu kolorystyki barwno-dźwiękowej. Wykonanie utworów innych epok (Bach, Beethoven, Chopin) budziło nie jedno zastrzeżenie. Z szopenistów usłyszeliśmy Raula Koczalskiego, podającego Szopena w sposób klasyczny, ściśle mówiąc mozartowski. Czy powyższa interpretacja, pozabawiona zresztą typowo szopenowskiej historii, była słuszną, czy wadliwą — pozostaje kwestią otwartą. Bądź co bądź — Koczalski wprowadził coś nowego i złamał tradycję (nota bene, złamał ją w sposób kulturalny) a i to jest dużo... Żurawlew (koncert jego odbył się wyjątkowo w auli Wyższej Szkoły Muzycznej) dał nam przykład wypadania ze stylów. Mocny ton, bravura nie nadrobiły niestety braków zasadniczych. Krótko mówiąc: Beethoven w sonacie „księżycowej“ nie był Beethovenem, a Chaconne J. S. Bacha przypominała raczej własną improwizację. Tym razem to „coś nowego“ nie wypadło kompozytorom na zdrowie...

Skrzypce reprezentowali między innymi: Wanda Wilkomirska, laureatka konkursu genewskiego — czysty ton, miękka barwa i wielka kultura, to chyba wystarczające atuty, ażeby śmiało można było przyklasnąć jury genewskiemu. Wacław Niemczyk pokazał nielada technikę, ale, niestety tylko technikę. Nigdy nie uotłasniałem żonglerki instrumentalnej z artyzmem... Przeciwnie Niemczyka była Umińska — spokojna, głęboko wnikająca w grany utwór — smyczek jej nie ślizgał się jedynie po strunach, nie chciał zadziwiać. W tym leży prawdziwy artyzm Umińskiej.

Śpiew to chyba najstarsza pozycja estrady śląskiej. Jedyną właściwie reprezentantką była Irena Lewińska, również laureatka genewska. Jedyny jej koncert, po powrocie z zagranicy, wykazał dużą inteligencję śpiewaczki, a przede wszystkim doskonale opanowanie techniki wokalne. Pewne braki natury czysto emocjonalnej pokrywała niezwykła i niestety rzadko spotykana u śpiewaczek staranność. Inne

koncerty wokalne stały na poziomie zupełnie przeciętnym.

Z dyrygentów, prócz wyżej już wymienionego Witolda Krzezińskiego, którego opływowe, niemal taneczne ruchy, mieliśmy sposobność obserwować prawie na każdym koncercie — widzieliśmy prof. Dymka, wytrawnego, solidnego w robocie muzyka oraz Waleriana Bierdiajewa, jednego z najlepszych obecnie dyrygentów. Bierdiajew, prowadząc V symfonię Beethovena, pokazał nam, jak ten sam zespół zmienia się pod wpływem pewnej ręki kierowniczej. Orkiestra była odmieniona, nie ta, a szkoda, że to odmienienie trwało tylko kilkadziesiąt zaledwie minut.

Pełne uznanie należy się obecnemu kierownictwu Opery Śląskiej p. Belinie-Skupieskiemu. Dzięki jego pracy i pracy reżyserskiej Adama Dobosza opera nasza stanowi obecnie najlepszą placówkę tego rodzaju w Polsce. Mimo licznych trudności, wynikających z konieczności ciągłych rozjazdów wraz z całym aparatem teatralnym, opera dała w ubiegłym roku szereg pełnowartościowych premier. Do najlepszych należały: Halka (w nowej inscenizacji), Carmen i Cyganeria. Te trzy opery, to żelazny kapitał placówki o wysokim poziomie. Z solistów wymienię Lachetówną, Calmę, Denis-Sloniewską i doskonale zapowiadającą się młodą mezzosopranistkę Kawecką. Z głosów męskich: Fintzego, Arno, Hiolskiego, Dobosza. Do słabszych pozycji należy Traviata, której nawet gościnne występy Kostrzewskiej Barbary nie mogły nadać niczego bardziej frapującego artystycznie. Sama opera bowiem jest doskonale mdła i banalna.

Radio w swoich programach muzycznych ma swoją urobioną firmę tylko dzięki najlepszej na tym terenie orkiestrze symfonicznej (i bodajże jedynej radiowej w Polsce). Kałka Rowicki to dobry pedagog orkiestrowy. Zespół jego jednak jest tylko w minimalnej części wykorzystywany. Odcinki radiowe, przeznaczone na muzykę symfoniczną w odcinku katowickiej rozgłośni, są bardzo skąpe. A szkoda... zamiast idiotycznych koncertów życzeń (traktowanych wyłącznie jako dochód) zamiast koncertów wątpliwych wartości ze-

społów — wartaloby raczej pomyśleć o zwiększeniu produkcji symfonicznych. Dlaczego my nie chcemy pokazać tego, z czego moglibyśmy być na prawdę dumni? A poza tym, czy Dyrekcja Radia mogłaby wyjaśnić ogółowi radiosłuchaczy, dlaczego mając jedną z bogatszych bibliotek płytowych ze wszystkich rozgłośni — nadaje płyty zawsze te same? czy chodzi o to, żeby ich uczono się na pamięć?

Poza tym na terenie całego województwa odbywały się koncerty popularne, urządzane bądź przez Filharmonię, bądź przez różne ośrodki kulturalne. Poziom tych imprez, zwłaszcza na prowincji, nie mógł być wysoki. Za mało mimo wszystko interesujemy się tym, jak należy sztukę propagować, a właściwie, ściśle mówiąc: jaką należy sztukę uprawiać.

Dużo się mówi o udostępnieniu muzyki, a przecież wszystkie na prawdę wartościowe imprezy (Filharmonia, Opera) są w rzeczywistości zupełnie niedostępne właśnie dla tych wszystkich, o których się tyle teraz mówi. Pytam się: czy robotnik, urzędnik pracujący w biurze, nauczyciel, chłop itp. czy ci wszyscy, którzy na prawdę pracują uczciwie i żyją wyłącznie z własnej pracy, czy ci mogą płacić kilkaset złotych za bilet do opery? mnie się zdaje, że nie! Filharmonia nie jest też taną rozrywką. Przeciętny bilet kosztuje około stu złotych — a każdy koncert lepszy podnosi ceny biletów przynajmniej dwukrotnie. Jeśli Filharmonia jest instytucją państwową i ma być ośrodkiem nie zarobkowym, lecz kulturalnym — to niechże Państwo wyklada na ten cel. Przypuszczam, że cel godny kilku złotych...

Tak. Koncerty i inne imprezy muzyczne były właściwie dotąd tylko imprezami dla pewnych ludzi. Ale społeczeństwo nie składa się wyłącznie z „pewnych ludzi“. Są miliony szarych pracujących zagrzebanych w życiu codziennym ludzi — którym należy się kulturalne intermedium. Szkoła, że u nas mimo wszystko za dużo miejsca zabiera papier, a za mało czyni...

Prawdziwa demokracja musi być przede wszystkim sprawiedliwa w rozdziale dóbr kulturalnych.

Ryszard Bukowski.

Ekran

Po długim oczekiwaniu, wśród niebywalego zainteresowania publiczności zobaczyliśmy na ekranach kin katowickich („Zorza“ i „Rialto“) pierwszy, powojenny długometrażowy film polski: „Zakazane piosenki“.

„Zakazane piosenki“ nie są filmem we właściwym rozumieniu tego słowa. Są raczej montażem filmowym o dosyć luźnej fabule, montażem mającym oddziaływać w pierwszym rzędzie za pomocą elementów bezpośrednich, emocjonalnych, przy czym z natury rzeczy środki i wyraz artystyczny przeniesiono na plan drugi. I od razu stwierdzić musimy, że oceniając „Zakazane piosenki“ z tego właśnie emocjonalnego punktu widzenia, postawić musimy im ocenę jak najlepszą. Sceny tego rodzaju, jak słuchanie naszego hymnu narodowego przez propagandowe głośniki niemieckie, — piosenka, którą gra na harmonijce partyzant nad grobem poległego towarzysza, czy ta sama piosenka śpiewana przez dziewczynskie bezradne łyżki (Szaflarska) — są po prostu wstrząsające. Na widowni płaczą nie tylko kobiety...

Drugim plusem filmu jest jego opracowanie techniczne. Ale tylko pod względem wzrokowym. Elementy kinetyczne, ruchowe — dozowane umiejętnie, są czystą robotą i w żadnym wypadku nie oscylują z chaosem, o co w tego rodzaju montażu, bynajmniej nie trudno. Bardzo umiejętnie wpłciono również w ramy „Piosenek“ oryginalne sceny bataliczne z filmów dokumentalnych, zabarwiając rumieńcem autentyczności akcję obrazu. Powtarzamy jeszcze raz: robota czysta i przyjemna. Efekty nie zawodzą.

Jeżeli chodzi o obsadę, to należy również podkreślić jej udatność. Czołowa trójka: Danuta Szaflarska, Jerzy Duszyński i Jan Kurnakowicz stworzyli typy prawdziwe, zwłaszcza sugestywna twarz Szaflarskiej i kapitalne w postaci indywidualności Kurnakowicza — wolne są zupełnie od pozy. Duszyński, zwłaszcza w scenach końcowych — odrobinę przerysowany. Bardzo dobra postać matki w wykonaniu Ordęzanki. W dobrych epizodach spotykamy

naszych katowickich znajomych z teatru (Wichniarz, Młodnicki).

Jeżeli chodzi o efekt pracy scenarzysty i reżysera to naogół można go ocenić pozytywnie. Pamiętajmy, że już samo założenie, koncepcje (trudno rzecz: treść) filmu wymagała wielkiego wysiłku, znacznie większego, niż przy normalnym obrazie o gładkiej, konsekwentnej fabule. Tutaj jedyną, jakże trudną do oddania więźbą były piosenki, wesole i smutne acz podkreślające i napinające nastrój, to znów rozładujące go w scenkę rodzajową, czy groteskę. Robota to cienka i wymagająca momenty doskonałe (bardzo dobry pomysł sugestywnego zilustrowania pieśni „Lecą ścieżki z drzewa“ pięknie zmatowanymi wycinkami plaineru). Są też i punkty słabsze. Dotyczy to tak poszczególnych scen jak i koncepcji ogólnych. Np. scenie z Żydem i granatowym policjantem brak zakończenia, scena z gestapowcami, grającymi na fortepianie, jakby specjalnie dla odstraszania ludzi, których oczekują — budzi poważne zastrzeżenia. — Niezbyt udaną jest koncepcja wprowadzenia opowiadacza, przedstawiającego w atelier filmowym dzieje zakazanych piosenek. Mąci to jasność akcji filmu i przerywa nastrój w sposób nieraz niezdolny.

Najgorszym punktem filmu jest niewątpliwie fatalny dźwięk. Tylko dzięki niemu przepadają nieraz całe sceny a tok akcji staje się niezrozumiały. Razi to zwłaszcza w dialogach, piosenki są już znacznie lepiej słyszalne.

Mimo tych jednak usterek nakręcenie tego rodzaju obrazu należy uznać za sukces „Filmu Polskiego“. „Zakazane piosenki“ będą mogły liczyć i to zupełnie słusznie, na wielkie powodzenie, czego im zresztą szczerze życzymy. A i za granicą będzie się czym chwalić.

Film reżyserował według scenariusza L. Starskiego Leonard Buczkowski. Muzyka Romana Palestra. Zdjęcia: Adolfa Forberta.

Alba

Miłośnikom książek
polecamy
NOWOŚĆ NOWOŚĆ



Wydanie specjalne na czerpanym papierze, z drzeworytami prof. St. Jakubowskiego, z kolorową okładką K. Mroszczaka. Forma albumowa, oprawa kartonowa.

Wydawnictwo M. Kowalski, Katowice, ul. Pierackiego 4.

Do nabycia w księgarniach.

Już teraz

Już teraz stara się literatura niemiecka nawiązać uczuciowy kontakt z utraconymi ziemiami na rzecz Polski. Już teraz poeci niemieccy nie pozwalają zapomnieć swojemu narodowi o krajobrazie i sprawach, a także o niemieckich troskach ziem, położonych na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej. W ślad za cytowanymi już w naszym cotygodniowym przeglądzie „Co robią Niemcy“ utworami drukujemy przekład „Koleśdy Kaszubskiej“ Wernera Bergengruena, ogłoszonej w tygodniku wiedeńskim „Die Presse“ z dnia 25. XII. 1946.

Werner Bergengruen, z pochodzenia dolnotyrolczyk, znany nam jest z łamów prasy niemieckiej z okresu hitlerowskiego także. Koleśdy jego — jak informuje nas tłumacz — niedrukowana dotąd w żadnym jego zbiorze, użyczona została specjalnie dla świątecznego numeru „Die Presse“.

KOLEŚDY KASZUBSKA

Gdybyś się dzieciątko na Kaszubach,
Gdybyś się tam u nas urodziło!
Patrz, na sianie jużbyś nie leżało,
miękkko w puchach by ci pościelono.

Nigdy w stajni byś się nie znalazło,
tuż przy piecu by łózczo stało,
i ksiądz proboszcz samby w łot przybieżał,
Tobie i Twej matce cześć oddawał.

Jakbyśmy, dzieciątko, Cię ubrali!
W barankową czapeczkę koniecznie,
w płaszcz błękitny z kaszubskiego sukna,
z tasiemkami i podbity futrem.

Własny pasek by ci oddał każdy,
na nóżęta buciczki czerwone
gwoździkami podkute srebrnymi!
Jakbyśmy, dzieciątko, Cię ubrali!

Jakbyśmy, dzieciątko, Cię karmili!
Raniuteńko biały chlebuś z miodem,
Świeże masło, cudnie miękkko pieczeń,
a na obiad pęczak z żółtym sosem

i gęsina i flaczki z imbirzem,
po kielbasie tłustej złota babka,
dżban za dżbanem mocne piwo z Pucka!
Jakbyśmy, dzieciątko, Cię karmili!

Jakbyśmy Ci serca oddać chcieli!
Patrz, pobożni stałby się z nas każdy
i kolana ugiałbyś nam wszystkim
i ślad wszystkich powiódł drogą bożą.

Stodół już nie byłoby płonących,
Ibów pijackich skrwawionych w niedzielę
Gdybyś się dzieciątko na Kaszubach,
Gdybyś się tam u nas urodziło!

Przełożył Stanisław Jerzy Lee

Wiersze

Aleksandra Widery



Skromny, osiem wierszy i niedługich utworów poetyckich zawierający zbiorek poezji Aleksandra Widery, wydany przez Cddział Śląski Z. Z. L. P. jako drugi zeszyt „Arkusza Śląskiego”, mimo swej szczupłości mówi o szczerym talencie młodego poety. Autor poematu dramatycznego pt. „Agaton”, który to poemat mimo wpływów techniki poetyckiej Wyspiańskiego i Roztworowskiego — może także problemów i zasadniczego tonu psychicznego Norwida — odkrył nam już poetę szukającego swego osobistego stosunku do rzeczy głębokich i zasadniczych, — ukazuje się tutaj jako liryk refleksyjny.

Śląsk i cud powrotu całej starej ziemi piastowskiej do wspólnego życia polskiego, doświadczenia i ślady strasznych lat ostatniej wojny i niewoli, w czasie których młody poeta był więźniem kilku niemieckich obozów koncentracyjnych, uczucie religijne, wypowiedziane się chętnie w tradycyjnym katolickim kulcie Matki Boskiej, wreszcie osobista szczęśliwa przygoda: miłość i jej spełnienie w przymierzu z żoną, doskonałym przyjaciелеm doli i niedoli, znalezionym w piekle i brzydocie upadającego obozu koncentracyjnego, — to motywy i świat uczuć i pojęć małego zbiorku. Bliższą węższą ojczyzną tej poezji jest kraj hut i kopalń, poryty przepaściami szymbów, płonący płomieniami wielkich pieców, dymiący dymami hałd i kłaniający się Matce Boskiej z Piekar. Ten sam region i ten sam klimat psychiczny u tego Bytomiaka z Rozbarku, co i u syna górnik z rybnickiej Czerwionki: Szewczyka, a jednak każdy z dwóch poetów jest inny, odrębny. Oprócz męskiego, niesentymentalnego i nie historycznego liryzmu uczucia patriotycznego i religijnego, zauważamy u Widery cierpką ironię, zrodzoną może z przeżycia całego bezmiaru nędzy i brzydoty, który obnażyły lata najpodlejszej z wojen, czasem jakiś jędrny humor wisielczy, który widocznie był formą oporu i środkiem obrony w strasznych i szpetnych przeżyciach obozowych i za którym wyczuwa się tężyźnię, kościec moralny poety. Te cechy posiada „Elegia popielata”, stanowiąca lirycznoepicki komentarz poety i parabazę między jednym aktem „Agatona” a drugim. Ten sam tegi humor jest w cyklu trzech wierszy pt. „Radość”.

„Elegia popielata”, „Osobiste i zaolziańskie” i „Radość” to najlepsze utwory zbiorku z sierpnia 1946; świadczą one, że młody poeta ma coś do powiedzenia. Sugestywny tok rytmiczny czternastozgłoskowca z średniówką w środku, po siódmej zgłosce, w wierszu „Osobiste i zaolziańskie” świadczy o wrażliwości muzycznej poety i jego obyciu z tradycyjnym wierszem stroficznym. W „Elegii popielatej” i we wierszu „Na pewną ekshumację w Orłowej” można się doszukać wpływów techniki poetyckiej „awangardy” krakowskiej: w śmiałych skrótach języka i wizji poetyckiej, w metaforze dynamicznej, ujmującej świat zjawisk w stawianiu się i zmieniającej hierarchię rzeczy.

Szkoda, że skromny zbiorek z sierpnia r. 1946 nie objął jeszcze kilku innych wierszy Aleksandra Widery, znanych nam z prasy literackiej i codziennej, a znamienych dla indywidualności poety. Na podstawie wierszy „Arkusza” niewiele więcej można powiedzieć ponad stwierdzenie faktu istnienia talentu poetyckiego i swoistego tonu ironii światopoglądowej oraz humoru wisielczego. Młody poeta jest ciągle jeszcze w stadium szukania własnej drogi: zarówno jeżeli chodzi o wypracowany własnym wysiłkiem pogląd na świat, jak i o własny wyraz artystyczny swych przeżyć. Oby go nie skrzywiło i ograniczyło małoduszne za-

Sprawy teatru

Trzy premiery w Opolu

W kulturalnym życiu społeczeństwa przedstawienie prapremierowe jest zawsze ewenementem; zwłaszcza, gdy nową wartość formuluje słowo polskie, w polskim ugorującym teatrze. Prapremiera „sztuki” Bronisława Brońskiego nie była wydarzeniem, zasługującym na uwagę. „Przydział mieszkaniowy”, bo taki jest tytuł utworu, nie wnosi żadnych wartości istotnych. Jest źle napisanym skeczem, płytką komedią, kompilującą w sposób stereotypowy banalne motywy z „Sublokatorów”, czy jakiejś tam innej hecy mieszkaniowej. Dowcipkuje żarcikami Wiecha, kłuje szpilkami ze „Szpilek”, a szyty grubym szwem kompozycji przypomina kiepską robotę budarzy, pełną błędów, krzywizn i oklapnięć. Rozpada się też i rozkleja w świetle kinkietów, jak źle sklejona „szopka”.

Publiczność zbagatelizowała flirt Brońskiego z Melpomeną. W Opolu pełnym powodzenia cieszy się wciąż Fredro i... Turski. Po „Zemście” i „Ślubach panińskich”, wystawiono z kolei „Gwałtu, co się dzieje”. Krotchwila Fredry (w reż. Stanisława Staśki) nabiera lotu do 16 przedstawienia, a „Krowoderskie Zuchy” Turskiego „łapia” brawa, równe frenetycznym okłaskom Krakowa, sprzed lat już prawie czterdziestu.

Rzeczywiście: staranna reżyseria, głównie zaś dobra gra zespołu, stawia te dwie imprezy w rzędzie udatnie podanych przedstawień. Perypetie nieszczęśliwych mężów Osieka, zgoła ucieśnienie traktujące problem równowagi w pożyciu małżeńskim, nie mniejszym cieszą się przy tym sukcesem, jak ongiś w Krakowie, na wałach, „Krowoderskie Zuchy”. Ożywia zaś te dwie premiery, oświetla i aktualizuje, myśl o znaczeniu społecznym. Szczęście jednostki i ogółu gruntuje ona na zasadzie poszanowania praw człowieka. „Równa świat”, wołając o uprawnienia społeczne dla „lichych, szarych i małuczki”; upomina się o szacunek dla ciemionej pracownicy domowej, bierze w obronę „nisko urodzonego” studenta, żąda respektu dla murarzy Gzysików i całej ich „żadnej” rodziny. W krotchwili Fredry społeczny ten aspekt wyłania się w sposób pośredni, przez wnio-

skowanie i drogą refleksji. W komedynie Turskiego, grubo ciosanej w propagandowym materiale treści, morał społeczny grzmi na całe gardło. Podbudował go odpowiednio Broński, reżyser i aktor opolskiego teatru, dokomponując drobne, lecz aktualne wkładki propagandowe. Zrobił to inteligentnie, z korzyścią dla utworu. Akcją osobistą Kazka i Wandy stuszował, na pierwszym zaś planie ukazał grupy społeczne: świat robociarzy i „burżuazyjną” na pozór, o symbolicznym tutaj charakterze, klasę „nadrzedną”, w domu pana Kłaczka, Małżeństwo syna murarza z córką „państwa” Kłaczków ma tu oczywiście swoistą i zdrową wymowę. Tak zakulturowany, odświeżony i nowym kolorem okraszony tekst, błahy na ogół i mniej niż przeciętny pod względem wartości literackiej wodewil Turskiego, robi w Opolu „kasę”, bawiąc na sali publiczność ze wszystkich warstw społecznych.

Tempo akcji odpowiednio, „dziur” zgoła nie wiele, dialog potoczny i żywy, bez przejęzyczeń i potknięć, role przemyślane i opracowane starannie. Groteskowy charakter widowiska, utrzymany w sposób jednolity, podnosi wartość przedstawień.

Z wykonawców, na czele zespołu, wymienić należy Wandę Jerzmanowską, w kapitalnie oddanej roli burmistrza — Urszuli. Z innych wykonawców krotchwili Fredry, zasłużyli na pochwalną wzmiankę: Posiadłowski (Tobiasz), Sieniawska (Barbara) i Bay-Rydzewski (Makary). W „Krowoderskich Zuchach” najlepiej bawili nas: Sadecki (Felek), Kosmalewski (Franek), Plucińska (Babina), Dubrawski (majster Gzysik) i Judejko (Kłaczek), Feldmanówną, Skalską i Radwaną widzieliśmy już w lepszej formie na scenie. Kulikówna i Jabczyński nie mieli pola do popisu.

W ostatniej odsłonie farsy Fredry niepotrzebnie wprowadzono balet, osłabiając przez to ekspresję scen finałowych. W „Krowoderskich Zuchach”, jedna z młodych aktorek grała w wieczorowej sukni i... w sportowych trzewikach!

Stosowną oprawę malarską dał Marian Łańcucki.

Wincenty Hlouszek

TEATR LALEK W KATOWICACH



W Wojewódzkim Domu Kultury i Oświaty O.K.Z.Z. interesujący Teatrzyk Lalek „Czary” wznowił sezon, wystawieniem bajki M. Kownackiej „O Kasi, co gąsiki zgubiła”.



ciężnienie się do spraw Górnego Śląska i polskości tego Górnego Śląska i do pewnych ogranych już rekwizytów polskokatolickiego kultu, do którego namawiają śląskich poetów niektórzy krytycy i recenzenci krakowscy i katowiccy z gorliwością godną lepszej sprawy! Oby się nie ograniczało do ciasnego kręgu motywów tak typowych dla naszej współczesnej poezji powojennej! Oby pamiętało o tym, że poeta to

nie tylko człowiek związku zawodowego i zdyscyplinowany szeregowiec gminy, parafii, ale także — zawsze przecież! — buntownik i niestrudzony poszukiwacz piękna, w jakiegokolwiek ono zjawi się postaci! Jakiś podziemny nurt głębokich: metafizycznych uczuć i echa istotnej problematyki etycznej oraz cierpień światopoglądowych, wyczuwalne w niektórych utworach i fragmentach autora „Agatona”, pozwalają się

Glossy i notatki

RUCH ŻYDOWSKI
NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Ciekawe wiadomości z życia politycznego Żydów na Ziemiach Odzyskanych przynosi miesięcznik „Przełom”, organ żydowskiej partii robotniczej „Poalej Sjon” lewicy. Ta partia założona przez zmarłego przed 30-tu laty Bera Borochowa i od niego zwana też borochowizmem, rozwija na Ziemiach Odzyskanych szczególną aktywność polityczną. Borochow stał się znanym teoretykiem i nauczycielem rewolucyjnej młodzieży żydowskiej, która szuka drogi od obozu koncentracyjnego i komory gazowej do produktywnego twórczego życia żydowskiego w Polsce. „Poalej Sjon” lewica jest w wielu miastach jedyną partią polityczną żydowską, a wszędzie tu prawie istnieją kolektywne młodzieżowe im. Borochowa.

W czasie jesiennej podróży posta dra Adolfa Bermana po Ziemiach Odzyskanych „Poalej Sjon” z okazji związanych z tym manifestacji dokonała niejako przeglądu swych sił. W Wałbrzychu odbył się zlot i akademii młodzieży robotniczej im. Borochowa, w Dzierżonowie wielkie zgromadzenie publiczne, na wiec w Legnicy przybyła specjalna delegacja z Bolkowa, w którym to miasteczku przebywa 130 Żydów, z czego 75 należy do „Poalej Sjonu” lewicy. W Bielawie szczególnie wzorowo zareprezentowała się organizacja dziecięca „Jungbor”. Na młodzieżowym zlocie w Wałbrzychu przemawiali między in. wybitni pisarze żydowscy żyjący w Polsce, poeta Chaim Grade, poeta Kaczergiński, I. Aschendorf, dramaturg, oraz prozaik Olicki. O aktywności świadczy także fakt, że nieliczna grupa zrzeszonych Żydów w Bolkowie zebrała 15 tys. zł i zakupiła 50 drzew w Palestynie na rzecz lasu im. Męczenników Żydowskich w Polsce. Spośród kolektywów młodzieżowych najczynniejszy „Jungbor” w Bielawie i kolektyw dziecięcy w Jaworznie. Na całym Dolnym Śląsku czynnych jest około 30 „kibuców” im. Borochowa, w których młodzież żydowska otrzymuje wychowanie w duchu proletariacko-marksistowskim. „Przełom” podaje dalej: „Organizacje nasze na Dolnym Śląsku biorą czynny udział w akcji produktywizacyjnej. Przeszło 100 naszych towarzyszy pracuje w kopalniach węgla: wielu zaś w fabrykach”.

Równie ruchliwy jest ośrodek szczeciński. W czasie swej obecności tutaj dr Berman odwiedził szkołę żydowską, wygłaszając przemówienie do 300 dzieci. Szczecin jako punkt przelotowy dla repatriantów z zachodu wykazuje stałe zmiany w ruchu ludnościowym żydowskim. I tak w „Przełomie” z sierpnia ub. r. czytamy, że ludność żydowska Szczecina wzrosła w przeciągu zaledwie kilku dni, ale w międzyczasie cyfra ta wybitnie zmalała. Szczeciński kolektyw młodzieżowy, zajmujący trzypiętrowy gmach i liczący około 100 członków, posiada wiele czynnych warsztatów jak: krawiecki, szewski, ślusarsko-monterski i inne.

Jadźwিং

KONIEC PIOSENKI

Kiepura przyjął obywatelstwo amerykańskie wraz z żoną i synkiem. Niedawno donieśliśmy o jego kombinacjach z niemieckim przemysłem filmowym. Taki jest koniec piosenki, która miała śpiewać o „patriotyźmie i demokratyczności” tego chłopaka z Sosnowca. Właściwie należał by mu się taki sam portret, jaki namalowano swego czasu w „Kuźnicy” Albertowi Harrisowi. Portret byłby nawet ciekawszy, bo według „Kuriera Codziennego” z dnia 7 stycznia br. Kiepura proponował kiedyś rządowi sanacyjnemu zupełnie poważnie, by go obrano prezydentem państwa. Słusznie przypomina się przy tej okazji Kasprowicza:

„Widziałem, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i resztę,
Kto krzyczy, że żyje dla niej.”

Ste.

spodziewać, że młody poeta nie da się zepchnąć na ciasne podwórko. Jeżeli chodzi o charakter liryki Aleksandra Widery, można powiedzieć, że to raczej liryka refleksyjna; autor jej to na ogół nie poeta żywiołu, wypowiedziane się głównie w tak zwanej „lirycie bezpośredniej”, ale raczej zadumany poeta refleksji, liryk zamyślony, który wsłuchuje się w głęboki nurt bytu.

Zdzisław Obrzud.

Wśród czasopism

Gdy szamocące się gdzieś na oboczu, w oddaleniu od wielkich środowisk kulturalnych i od wielkich mecenatów pismo literackie wychodzi nagle w podwójnym numerze (a są to przeważnie miesięczniki), budzi to niepokój i każe przypuszczać, że pismo walczy z poważnymi trudnościami. Ostatnio uciekała się do tej metody pomorska „ARKONA”, o której wiadomo, że się jej nie przelewa, że trzyma ją przy życiu pomimo stosunkowo wysokiego nakładu wytrwałość i ofiarność współpracowników. Miejmy jednak nadzieję, że jeśli ten fakt jest przejawem pewnego kryzysu w życiu pisma, to jest to kryzys przejściowy, któremu sympatyczny miesięcznik pomorski nie ulegnie. „Arkona” ma dwie cechy charakterystyczne: jest pismem dla ziem pomorskich naprawdę reprezentacyjnym. W treści znajdują tu proporcjonalne odbicie zagadnienia literatury, sztuk plastycznych i muzyki, a obszerna i rzeczowa kronika życia kulturalnego większych miast pomorskich (Bydgoszcz, Toruń, Grudziądz, Inowrocław, Szczecin) dopełnia całości obrazu życia kulturalnego na Pomorzu. Obraz to wprawdzie nie należy do bogaty, ale różnorodny, interesujący, wskazujący na solidną pracę kulturalną i właściwe ambicje ludzi, którzy tworzą życie kulturalne na tych terenach. Omawiany numer „Arkony” (13-14) zaczyna się od Zeromskiego. Wanda Brzeska podejmuje „Rehabilitację Smećka” w artykule wstępnym. Dochodzi na podstawie analizy wyobrażeń i gadek ludowych z całego Pomorza, że taka koncepcja Smećka, jaką dał Zeromski, jest mylna i niezgodna z tymi pojęciami, jakie z tak nazwaną odmianą diabła łączy lud pomorski. Zeromski uczynił go niezgodnie z pomorską tradycją ludową symbolem i ucieleśnieniem największego zła zafascynowany zapewne pięknym brzmieniem tego słowa, którego treść i wartość dźwiękowa stoi zresztą w sprzeczności z tym wyobrażeniem szatana, jakie zamyka pod tą nazwą autor „Wiatru od morza”. Brzeska ustala dokładnie, jak lud pomorski wyobraża sobie Smećka, jak ta postać rysuje się w jego mitologii i wierzeniach i stwierdza, że bliższym prawdy niż Zeromski był Wyspiański, u którego „Smeć” wspomniany w ostatniej scenie „Wesela” jest jakby zaklęciem, zczarowaniem, snem na jawie. W końcu stwierdza autorka, że „Smećek należy do szeregu diabłów polskich tak samo jak Bies, Kusy czy Boruta — stanowiąc regionalną odmianę demona przyrody”. Drugi z kolei artykuł poświęcony Zeromskiemu wyszedł spod pióra prof. Józefa Kostrzewskiego, który pisze o wczesnohistorycznej kulturze Pomorza w oświetleniu Zeromskiego. Po bliższej analizie obrazów tej kultury u Zeromskiego prof. Kostrzewski dochodzi do przekonania, że „Zeromski przedstawia poziom kultury pomorskiej w zaraniu dziejów jako znacznie niższy, niż był on w istocie. Wynika to częściowo z niedostatecznej znajomości odnośnej literatury, chociaż Zeromski interesował się nawet wykopaliskami, jak świadczy jego udział w odkryciu i zbadaniu grobów w okolicy Należcowa. W głównej mierze jest to jednak rezultat dość powszechnej skłonności naszych pisarzy do przedstawiania kultury pogańskich plemion słowiańskich w możliwie pierwotnej postaci zapewne dla lepszego skontrastowania jej z kulturą wyższą rozwinętych narodów zachodnich”. Prof. Roman Pollak pisze znów o nieznanym maryniście polskim z końca XVII w., Adamie Korczyńskim, autorze złożonego z trzech tysięcy wierszy poematu pt. „Złocista przyjaźnia zdrada”. O Arkadym Fiedlerze jako o nowym polskim pisarzu marynistycznym, który zrozumiał „duszę statku i bohaterstwo marynarzy”, pisze

Tad. Stan. Grabowski. Z bogatego i w całości bardzo interesującego numeru wymienić trzeba piękne wspomnienie Mariana Turwida o ks. Wacławie Gieburowskim oraz uwagi Józefa Maślińskiego o inscenizacjach dwóch komedii fredrowskich: „Gwałtu co się dzieje” i „koncert” (intermezzo w 1 akcie).

Nazwisko Józefa Maślińskiego w związku z teatrem pojawia się jeszcze w 6-tym zeszytacie „LISTÓW Z TEATRU”, gdzie pisze on o recenzji (najaktualniejszy ostatnio temat dyskusji pism teatralnych). Maśliński w Toruniu występuje jako reżyser, do czego doszedł od recenzenta teatralnego, który dziś zresztą sobie samemu ma wiele do zarzucenia i po bliższym zapoznaniu się z teatrem natrząsa się sam ze swoich ówczesnych sądów. Nie wątpimy, że ma rację i wiemy, że nie będzie krytyki teatralnej w Polsce dopóki literaci piszący o teatrze nie zapoznają się z nim od innej strony a nie tylko z perspektywy fotela recenzenckiego. W ostatnich zeszytach „Listów z teatru” zwrócił uwagę użyteczny szkic informacyjny Tadeusza Kudlińskiego o artystycznym teatrze francuskim a w zeszytacie 6-tym ładne wspomnienie A. E. Balickiego o premierze „Wesela”. Listy są już dwutygodnikiem a specjalnie wartościową pozycją w tym piśmie jest bogata kronika teatralna krajowa i zagraniczna.

Skoro mówiliśmy o Pomorzu i teatrze nie można pominąć faktu, który omówił Tad. Kudliński w świątecznym numerze „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”, mianowicie faktu powstania w Gdyni pierwszego teatru artystycznego pod dyktando Iwo Galla. Gall, gdziekolwiek się pojawiał ze swoją inicjatywą i pracą teatralną, zawsze pozostawiał trwałe i piękne ślady swej działalności. Widzieliśmy to przed wojną w Częstochowie a potem na Pradze w Warszawie. Teraz osiadł w Gdyni i wielkim wysiłkiem tworzy tam po raz pierwszy od powstania tego miasta ośrodek wysokiej kultury teatralnej. A zanosilo się już nawet po wojnie, że z Gdyni nic pod tym względem nie będzie. Tymczasem miasto to ujrzało jako pierwsze w Polsce doskonale wystawioną poetycką sztukę Tadeusza Gajcego (Topornickiego) „Homer i Orchidea”. Kudliński pisze o tym przedstawieniu z wielkim uznaniem, można powiedzieć z entuzjazmem.

„Tygodnikowi Powszechnemu” dawno już należało się szersze omówienie na tym miejscu jako czołowemu piśmie katolickiemu w Polsce. Pozycję tę zajął „Tygodnik” od samego początku, gdy szedł jeszcze po pojedynku, nie pozwolił jej sobie wydrzeć po powstaniu „Tygodnika Warszawskiego” oraz „Dziś i Jutro”. W ostatnich miesiącach nabrał jeszcze rozmachu. Powiększył objętość, wprowadził nowe działy, stał się łatwiej osiągalny dla kupujących i prenumeratorów. Zmiany objętościowe i treściowe zaznaczyły się przede wszystkim na ostatnich stronach, gdzie pojawiły się stałe rubryki recenzji z książek („Tygodnik” jedyny na czas omówił przed świętami książki dla dzieci i młodzieży), obszerny i inaczej niż w innych piśmiech prowadzony przegląd prasy oraz bardzo cenna rubryka bibliograficzna, podająca w podziale tematycznym przegląd najważniejszych artykułów drukowanych w polskiej prasie periodycznej. Twórczość oryginalna, poezja, proza nie wysuwają się na plan pierwszy. Krąg pisarzy jest dosyć szczupły, wybitnych pozycji raczej mało. Więcej zwracają uwagę omówienia krytyczne, na czoło wysuwa się przede wszystkim wysoko postawiona publicystyka, Liczne ataki, z jakimi się ostatnio „Tygodnik” stale spotyka, zaostriły polemiczny i bojowy ton pisma. (ki)

Co robią Niemcy

Niemcy rozpoczęli rozpaczliwy bój o swoje granice. Prasa wszystkich kierunków atakuje gwałtownie Francję za, zdaniem komentatorów niemieckich, przeciwne duchowi Poczdamu jednostronne pociągnięcia w okręgu Saary. Nieco łagodniej atakuje się Polskę. „Berliner Zeitung” w artykule z dnia 31. 12. 1946, zatytułowanym zmiennie „Samowola nie tworzy bezpieczeństwa”, pisze:

„Przyszły pokój oparty może być nie na samowolnym oderwaniu niemieckich obszarów ani na podziale Niemiec na drobniejsze kraiki czy na zniszczeniu gospodarczej i politycznej niepodległości, lecz jedynie na bezwzględnej demilitaryzacji i demokratyzacji Niemiec... Wszystkie pisma starają się dać Francji lekcję dobrej polityki, wytykając jej pogwałcenie jakichś przyrzeczeń. „Der Morgen”, organ LDP, stwierdza, że Francja powinna po tytu powersalskich doświadczeniach nareszcie rozumieć, że obszar Saary wewnątrz Francji byłby ciałem obcym, dla Niemiec zaś byłaby to nieznosna na dłuższą metę amputacja. Nie tak bezczelnie protestuje przeciw planom francuskim organ SED „Neues Deutschland”. CDU, w ogłoszonym na łamach „Neue Zeit” oficjalnym oświadczeniu głównego kierownictwa partii, widzi w planach francuskich poważne wykrócenie przeciw ogólnemu pokojowi. „I niech się potem Francja nie dziwi, że nie będzie się miało do niej zaufania” — dodaje komentarz dziennika. Co jak co, ale Niemcy o braku zaufania do innych narodów powinni mówić jak najmniej. „Nacht-Express” pisze wręcz, że jeżeli prasa francuska twierdzi, iż ludność Saary żyje sobie unii z Francją, to należy uznać publicznie plebiscyt. „My też chcemy żyć!” — kończy pismo swój artykuł.

Wracając do artykułu w „Berliner Zeitung”, zacytujmy zdanie dotyczące granicy z Polską. „Jest dla każdego Niemca rzeczą bolesną, że uchwały poczdamskie oddały ziemie na wschód od Odry pod administrację polską, a w szczegółowych postanowieniach stworzyły prawą podstawę do wysiedlenia milionów Niemców. Czy zbliżająca się konferencja ministrów spraw zagranicznych przyniesie tu jakieś zmiany? Nie zrezygnowaliśmy jeszcze z nadziei, choć prawdopodobieństwo rewizji postanowień poczdamskich, podpisanych przez czołowych polityków alianckich, jest nikłe.” Zdanie to warto wpisać do sztabucha wszystkim naszym niedowiarkom. Zresztą pismo w dalszej części swego artykułu polemizując nadal ze stanowiskiem Francji w sprawie Saary, stwierdza, że nieobliczalne wprost straty polskie w minionej wojnie usprawiedliwiają częściowo dzisiejszy bieg granicy polsko-niemieckiej. Tymczasem Francja, która „w żadnym wypadku nie straciła tak wiele jak Polska”, nie ma żadnych moralnych praw do odszkodowań terytorialnych i „postanowienia poczdamskie z tego też względu nie zarządziły tu takowych.”

Tymczasem, gdy Niemcy staczają taki zawzięty bój o terytorialny wygląd swego przyszłego państwa, na terenie Niemiec wciąż zachodzą nowe wypadki prowakacji faszystowskich, odbierające poniekąd Niemcom prawo mówienia we własnej obronie. W Düsseldorfie odbyła się pierwsza publiczna narada byłych hitlerowskich przemysłowców i zbrodniarzy wojennych, którzy w większości do niedawna ukrywali się. Ich manifestacyjne obrady, odbyte w całym spokoju, niewątpliwie odbyły się musiały w porozumieniu z obcymi, nieniemieckimi kapitalistami. Równocześnie szaleje antysemityzm. Jak podał niedawno intendenta radia berlińskiego Max Seywitz, na cmentarzu żydowskim w Langenfelde pod Hamburgiem w pierwszym tygodniu grudnia ub. r. zniszczono ponad sto nagrobków,

rozbijając niektóre dynamitem. W Monachium uzbrojone grupy młodych ludzi usiłowały rozpedzić komunistyczną manifestację kobiet. Zupełnie jak w początkach niesławnego żywota SA. W gminie Tönning niedaleko Eiderstedt publiczne zebranie jednej z miejscowych partii zagajono pozdrowieniem hitlerowskim i zdaniem „Otwieramy narodowo-socjalistyczne zebranie.” Zebrani odpowiedzieli „Sieg-heil”. W Niemczech południowych dokonano w ciągu grudnia przeszło dwadzieścia zamachów bombowych na lokale komisji denacyfikacyjnych. Zupełnie jak w okresie republiki weimarskiej. Wszystko to są wiadomości sprawdzone, zanotowane także już przez prasę zagraniczną.

W takiej atmosferze trudno mieć zaufanie do ambitnych, humanistycznych planów w dziedzinie kultury. Profesor Klemperer z Drezna będąc niedawno w Berlinie wygłosił tam w siedzibie dziennikarzy niemieckich odczyt na temat drogi i celu niemieckiej polityki kulturalnej. Klemperer stwierdził, że kultura europejska cofa się znów w kierunku Rzymu, gdzie po raz pierwszy znaleziono syntezę idei chrystusowej i helenizmu, wśród prachryścianizmu z jednej strony a szczytowych osiągnięć formalnej harmonii antyku z drugiej. Klemperer skrytykował ostro okres romantyzmu niemieckiego, oświadczając na koniec, że niemieckie plany kulturalne w przyszłości muszą się trzymać skromnych ram. Wyrósł bowiem w Europie świat prawdziwego humanizmu, od którego Niemcy się oddalili.

Praktyczne plany kulturalne na rok 1947 dotyczą w pierwszym rzędzie produkcji książkowej. W strefie sowieckiej na progu nowego roku do startu wydawniczego przystąpiło aż 55 licencjonowanych wydawnictw. I pomyśleć, że to tylko start jednej strefy. W tejże strefie w roku ubiegłym wydano książek na ogólną sumę 25 milionów egzemplarzy. Ciekawe byłoby obliczenia polskie dla roku 1946. Podpułkownik Kołtypin oświadczył na początku nowego roku, że zniesione zostały natchmiast wszelkie zaostżenia cenzury, która ograniczy się raczej do dobrych politycznych rad. Jedne tylko wydawnictwo „Volk und Wissen” planuje na rok bieżący dziesięciomilionowy nakład własnych wydawnictw.

Z szesnastomiesięcznej produkcji wydawniczej należy się krótka wzmianka cennej z wielu względów „Historii położenia robotników w Niemczech od 1800 do czasów obecnych”. Autorem tej książki jest znany z łamów „Neues Deutschland” Jürgen Kuczynski. Książka ta jest równocześnie pierwszą większą powojenną pracą naukową. Kuczynski jako marksista przemilcza lub nie uznaje różnic narodowościowych w świat domym niemieckim ruchu robotniczym. Stąd zalicza też niektóre śląskie manifestacje robotnicze o położeniu narodowym. W szeregu manifestacji klasowych, wywalczających lepsze miejsce dla robotnika niemieckiego.

Skoro już jesteśmy w dziedzinie planów wydawniczych warto wspomnieć o inicjatywie Norymberszka Ernesta Rowohlta, który wydawał będzie za 50 fenigów arcydzieła nowszej literatury światowej jak Conrada, Joyce’a, Sinclair Lewisa, Jacobsona, każde w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy. Tajemnica taniości polegać będzie na specjalnym rotacyjnym druku, bez oprawy, w układzie trzyszpaltowym, w formacie 23 x 30. W ten sposób normalna 350-cio stronicowa książka zmieści się na 32 stronach wydawnictwa Ro-Ro-Ro (Rowohlts-Rotations-Romane).

W planie Rowohlta znajdują się także przekłady z czeskiego, nie mówiąc już o rosyjskim. W kilkunastu dzimnikach niemieckich ukazały się w ciągu grudnia przekłady z poezji czeskiej i słowackiej oraz artykuły informacyjne o nowej literaturze Czechosłowacji. Widać, że Czesi solidnie zakrzętnęli się wokół propagandy na terenie Niemiec. A my wciąż jeszcze żyjemy pod wrażeniem, jakoby Niemców nie było w Europie, jakby nie trzeba było na nich w ten lub inny sposób oddziaływać, jakby nie trzeba było im zaimponować naszym nieznanym i przez hitlerizm pogardliwie przekreślonym dorobkiem kulturalnym. wisz.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.). tel. 525-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3 Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice; 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik” R 29229

Szczecińska korespondencja teatralna

Szanowny Panie Redaktorze!

Dnia 25 grudnia 1946 r. przyjechałam z wielką trwogą do Szczecina, aby wystawić tam moją sztukę pt. „Ich czworo”, dowiedziałam się bowiem, że w tymże Szczecinie skazano na wygnanie za „amoralność” i „aspoleczność” sztukę mojego dobrego i wielce cenionego znajomego K.H. Rostworowskiego. Wystawiając „dramat ludzi głupich” nie miałam wielkiej nadziei, że sztuka ta zostanie przyjęta przychylnie, jednakże przyjęcie, jakie mi zgotowano w Szczecinie przeszło najmielsze moje przypuszczenia.

Sztukę bowiem moją zaszczycił obecnością generalny recenzent teatralny „Kurier Szczeciński”, Felicjan Dulski i napisał taką recenzję, że postanowiłam uciec ze wstydem z tego miasta do Francji, Anglii albo też do Rosji, gdzie dotychczas wystawiałam nieszczęsny swój utwór z

niejakim powodzeniem. P. Felicjan dostrzegł w mojej sztuce „najgorszą zgniliznę moralną”, gdyż „przy choince i przy niewinnym kilkunastoletnim dziecku w bardzo realistycznej formie (kazałam) przeżywać widzowi dramat czworga ludzi nie głupich, jak ich w podtytule (nazwałam), ale ludzi złych, zepsutych do szpiku kości”. Słusznie zapytuje się Felicjan „komu potrzebne” są takie sztuki, sądziłam jednak, że p. Dulski razem ze swoją rodziną dawno już umarł, względnie wyjechał ze Lwowa jako repatriant. Tymczasem okazało się, że osiedlił się on w Szczecinie i nie życzy sobie widzieć się na nowo w swoim utworze, ani oglądać sztuki Rostworowskiego, natomiast chętnie chodzi na następujące sztuki zagraniczne, wystawiane w szczecińskim teatrze „Komedia Muzyczna”: „Rozkoszna dziewczyna”

„Gałganek”, „Moja siostra i ja” i „Szkarłatne róże”. Sztuki te nie zawierają „najgorszej zgnilizny moralnej”, natomiast bawią go swoimi głębiemi myślowymi i nowym, często szczecińskim smakiem artystycznym, o czym p. Felicjan Dulski z dumą donosi w tejże własnej recenzji z „Ich czworo” pisząc, że „Komedia Muzyczna” — „ma na swoim koncie kilka wartościowych sztuk” (wyżej wymienionych).

Zdruzgotana wywodami Felicjana Dulskiego opuszczam Szczecin na zawsze.

Pozostaje z poważaniem
Gabriela Zapolska

P. S. Przyłączając się do wywodów szanownej koleżanki zamierzam po niewczesnym zmartwychwstaniu w Szczecinie, przenieść się z powrotem do grobu.

Z poważaniem
K. H. Rostworowski
Szczecin 7. 1. 1947